Nr. 7-16-II-1929

ŚWIAT

Międzynarodowe Zawody Narciarskie w Zakopanem



Fot. Marjan Fuks

„Sanato" — Dom Zdrowia Związku Pracowników Poczty, Telegrafu i Telefonów Rz. P.

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.
ROK XXIV
ŚWIAT
NR. 7
WARSZAWA, DNIA 16-go LUTEGO 1929 ROKU
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



Międzynarodowe zawody narciarskie, które odbyły się w Zakopanem, zwróciły znów uwagę szerokich kół naszego społeczeństwa na tę wybitną miejscowość kuracyjną i stolicę naszych sportów zimowych. Nie wątpimy więc, iż czytelnicy „Świata" przyjmą z zadowoleniem zeszyt bieżący, poświęcony Zakopanemu.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

Niedźwiedź z Łysej Polany

Zastanawiałem się nad tem długo, czy mam prawo wyjawić tajemnicę, spędzającą sen z moich oczu. Jest to historja dawna, z przed lat kilku, dziś już pogrzebiona w rocznikach starych gazet, która mnie jednak dręczy. Budziła ongi postrach i grozę, każda zaś o niej wzmianka pełna była niedźwiedzich poryków, jak powieść Curwooda.

Jest to ponura historja niedźwiedzia z Łysej Polany.

Postanowiłem wywlec ją na światło dzienne, miłość bowiem moja w stosunku do Zakopanego, chociaż bardzo wielka, nie może się żywić moją udręką, którą mi sprawia przykre poczucie, że ja jeden wiem o czemś, czego się nikt nie domyśla.

Kiedy w sfilmowanym „Panu Tadeuszu" ujrzałem w całym groźnym majestacie wypchanego i nadjedzonego przez mole niedźwiedzia, nad którym Wojski muzyckie odprawił egzekwie, zadrżała we mnie dusza. Nie! dłużej tego ukrywać nie mogę...

Oto jest historja zakopiańskiego niedźwiedzia:

Dnia jednego poszedł hyr po Zakopanem, a stąd po całej Polsce, że na drodze do Morskiego Oka, w okolicach Łysej Polany, pokazał się srogi i na krew łapczywy niedźwiedź. Tam porwał niewinną owieczkę, ówdzie, na drogę wypadłszy, przeraził i bladym strachem pobił nieszczęsnych ceprów, z jajami na twardo i kiełbasą zdążających w góry pod przewodem uroczej kozicy Kunegundy, Zochny, dwojga imion Haarnadelżanki, byli zaś i tacy, co spotniałym od nadmiernego wzruszenia głosem opowiadali, że, rozsierdzony, chwytał ogromne głazy i ciskał niemi za automobilowym wozem. Nie co dnia zjawia się niedźwiedź, nie można się tedy było dziwić ogromnemu poruszeniu; mniejsza zresztą o jednego ucapionego i zarżniętego barana, należało jednakże przypuszczać, że zwierz, tak dziwnie złośliwy, może w przystępie furji uczynić wyprawę na ciche i nikomu ducha niewinne Zakopane. Nie można było natomiast liczyć na to, że go odstraszą zabójcze zapachy w okolicach zakopiańskich restauracji, raczej przeciwnie, mogły go one znęcić, gdyż, jak o tem wiemy z ciekawych opowieści znakomitego amerykańskiego myśliwca, straszliwy odór zepsutych ryb jest mu najmilszym. Jeżeli dodać do tego wykwintne zakopiańskie majonezy, to znając perwersyjne jego upodobania, można było przypuszczać, że

się niebo przed nim otworzy, kiedy mu wiatr usłużny ich nieziemską woń przyniesie.

Ludzie poczęli szeptać pomiędzy sobą, obmyślając zapewne sposoby ratunku na wypadek inwazji straszliwego zwierza. Sposoby dobre i zdawna wypróbowane dwa tylko istnieją: albo uciec, albo też udawać umarłego. Sposób pierwszy niezawsze jest wykonalny, drugi natomiast jest i dowcipniejszy i dlatego łatwiejszy do wykonania, że kto zbliska ujrzy niedźwiedzia, ten pada bez ducha i przez czas dłuższy udawanie wcale mu nie jest potrzebne. Przezornie uciekło jednak w owym czasie osób kilka, szczerze się przyznając, że nie mają zaufania do tego sposobu, łacno się bowiem mogło przydarzyć, że nieboszczyk fałszywy może się ze zbytku wrażeń zmienić w nieboszczyka zawodowego. Wypadek ten pomnożył wówczas zdawna istniejące niechęci do ludzi wolnych zawodów, którzy tę nad wszystkimi mieli wyższość, że udawanie nieboszczyka najmniejszej nie sprawiało im trudności: literat, profesor uniwersytetu, nauczyciel ludowy, a szczególnie urzędnik mógł „zrobić" umarlaka odrazu, prima vista, bez wysiłku i bez próby, jak ów najmilszy student z powieści jeszcze milszego pana Prusa; wystarczyłoby, gdyby mądremu zwierzowi pokazali swoje zabiedzone fizjonomje, wobec których twarz nieboszczyka wydałaby się kwitnąca.

Radosny okrzyk: „Niedźwiedź, Mospanie" może być radosnym w epopei, w niepoetyckiem jednakże życiu stał się złowrogi; ciche miasteczko dostało jakoby konwulsji, rozprzęgły się nerwy, zagotowały się mózgi, nikt nie był pewny dnia ani godziny. Należy jednakże mile o tem wspomnieć, że i wiele dobrego sprawiła owa trwoga powszechna: zaczęli się do siebie garnąć ludzie, aby nie być w samotności, a stadła małżeńskie, zdawna obojętne, sypiały w mocnym uścisku. Nie wiedział o tem zwierz potężny, który gdzieś tam hasał po połoninach, krwawem okiem łypiąc, ile razy usłużny pies, wiatr, przyniósł mu wieść o opasłych w Zakopanem ludziach.

Nie można było jednak żyć w ciągłej niepewności i polegać na zmiennych humorach niedźwiedzia. Ludność miejscowa przyjęła wiadomość o jego ukazaniu się raczej z zadowoleniem, nawykła bowiem do odzierania ze skóry wszelkiego żywego stworzenia, które nieopatrznie zawędrowało w jej dziedziny, uważała niedźwiedzia za nową jedynie odmianę zdobyczy, od ludzkiej nieszczęsnej ofiary nieco sprytniejszą, przeto większego godną szacunku. Niepojęcie natomiast zachowały się w groźnej chwili władze gminne, takie stwarzając pozory, jakgdyby ich ta sprawa mało obchodziła; nie rozumiałem wówczas tego stanowiska; dziś je, niestety, rozumiem.

Kiedy państwo drzemie, trzeba, aby czuwali obywatele. Postanowiłem ja przeto, wbrew memu zwyczajowi niemieszania się do spraw cudzych i wbrew metodzie zachowywania życzliwej neutralności w stosunku do Zakopanego, zająć się tą sprawą, conajmniej dziwną.

Rzeczą było oczywistą, że całą tę awanturę należało zakończyć w trybie doraźnym, przez zakatrupienie niedźwiedzia. Łatwo się to mówi, nie tak łatwo się to robi. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że sprawę znakomicie i bez większych zachodów rozwiąże krótka depesza do Ossendowskiego w tym sensie: „Przyjedź i zabij" — po namyśle jednakże pomysł ten wydał mi się mocno naiwnym, bo przedewszystkiem znakomity mój przyjaciel oburzy się, kiedy się z konieczności dowie, że idzie o rzecz tak drobną i mizerną, jak niedźwiedź, tak to bowiem będzie wyglądało, jakgdybyś Zbyszka Cyganiewicza sprowadzał z Ameryki w celu zabicia nędznej pchły, pozatem naraziłoby się wielkiego myśliwca jedynie na stratę czasu, niedźwiedź bowiem, mądry szelma, poczułby śmiertelnego swego wroga już w chwili, kiedyby się ten zbliżał do Nowego Targu i zwiałby na czeską stronę, oszalały ze strachu.

Trzeba się było zdać na własną przemyślność i na własne myśliwskie doświadczenie. Serce mam gołębie, do tego jednak niedźwiedzia poczułem dziwną nienawiść, nie znoszę bowiem arogancji i panoszenia się, to zaś bydlę kudłate, jakby pewne bezkarności, najwidoczniej drwiło sobie ze wszystkiego i ze wszystkich.

„Głupi niedźwiedziu, gdybyś w mateczniku siedział..." — Nie wiedziałbym ja o nim, nie wiedziałby on o mnie, a tak? Tak się stało, że o jednego z nas było za wiele u podnóża gór. Rozsierdził mnie. Można być niedźwiedziem, ale należy mieć jakie takie manjery. Musiał dusić owce, bo tak mu kazała jego nieszczęsna natura; to rozumiem dobrze, jak rozumiem Karpowicza, kiedy za to, że „przez swoje dziwne znaki dał wodzie winne smaki", dusi mnie niegodnie. Niedźwiedź ten jednak dla nierozumnej igraszki zatarasował swojem cielskiem drogę do Morskiego Oka i napełnił trwogą góry i doliny. Musiało to być indywiduum złośliwe, nie mogące ścierpieć cudzej radości. I z tem właśnie należało skończyć, bo sprawa zaczęła być zbyt głośna. Gazety grzmiały, jęczały telefony, telegrafy czuć było niedźwiedziem sadłem. To jest jednak najdziwniejsze, że kiedy pierwszy, wielki strach opadł z ludzi, jak mgła z regli, Zakopane poczęło się najpierw bardzo wstydliwie, poczem coraz wyraźniej pysznić i puszyć, że może światu zaimponować niedźwiedziem. Szczególnie władze gminne takie srogie robiły miny, jakby to ich było zasługą, że się ten zwierz ukazał w obrębie ich władania. Pragnęły niemal jakiegoś z jego strony nierozumnego postępku, porwania taternika, albo obłupienia ze skóry kogokolwiek; gdyby zaś przypadkiem tak na mnie trafiło, ha! — wola boska. Byłoby wiele płaczu, a jeszcze więcej reklamy.

Tembardziej zaczął mi się ten zwierzak niepodobać; w dobrej duszy zapisałem mu śmierć. Byłoby to z mojej strony kłamstwem grubem i zbyt jaskrawo chełpliwem, gdybym powiedział, że się nie bałem. Przeciwnie, bałem się, nawet bardzo się bałem. Dla Ossendowskiego może to być mysz, dla mnie jednak jest to niedźwiedź. Bałem się mimo ciekawej wiadomości o naturze niedźwiedzi, że posiadają one swoisty sposób uśmiercania myśliwca, polegający na tem, że wrzepiwszy pazury we włosy na głowie nieszczęśnika, zdzierają je razem ze skórą. W tej mierze, jako człowiek pozbawiony tej naturalnej, taniej i banalnej ozdoby, (mówię o włosach, nie o głowie!) — miałem wyborne szanse.

Mniej polegałem na mojem doświadczeniu myśliwskiem. Łatwo jest wprawdzie strzelać w życiu głupstwa, bo i o taką zwierzynę łatwo i o pudło dość trudno, na nic jednak takie doświadczenie. Myśliwi nie stają się myśliwymi od pierwszego strzału, trzeba jednakże kiedyś zacząć. Los mi kazał w drugiej w ciągu żywota przygodzie myśliwskiej spotkać się z niedźwiedziem. To trudno. Los, stary drab, wie chyba, co robi.

Brak doświadczenia można zresztą nadrobić inteligentną zna-

jomością teorji. Niedźwiedź nie zając, prędko nie ucieknie, jasnem zaś było, że mu się podobało na nowem legowisku, ani jeden bowiem dzień nie minął, aby niedźwiedź nie dał znać w jakiś nieprzyjemny sposób o swojej obecności. Miałem czas.

Nie mówiąc nic nikomu, zająłem się gorliwą i pilną lekturą; czytałem wszystko, cokolwiek i kiedykolwiek napisano o obyczajach tego stworzenia. Dowiedziałem się przy sposobności, iż jest to zwierz tak przemyślny, że idąc do kochanki, znaczy pazurami na korze drzewa swój wzrost, aby idący za nim rywal, mógł, zmierzywszy siebie wedle naznaczonej skali, wycofać się z interesu, jeśli jest mniejszy. Naturaliści, śmiejąc się, nazywają to legendą, ja jednak, być może, że w zapamiętaniu, skłonny jestem do przypuszczenia, że jest to nietylko prawdą, lecz że jest to równocześnie sposobnością do ohydnych nadużyć i szachrajstw, dowcipny bowiem, lecz chuderlawy niedźwiedź, wdrapuje się zapewne na pień drzewa i znaczy fałszywą miarę.

Dowiedziałem się, że w Polsce przebywa w charakterze „stałych mieszkańców" sto czterdzieści jeden niedźwiedzi, wedle ostatniego urzędowego spisu tej kosmatej ludności. Należało przypuszczać, że niedźwiedź z Łysej Polany jest mieszkańcem niestałym, emigrantem z czeskiej strony. Nasze niedźwiedzie są dobre i wesołe, ten natomiast okazywał wybitną złośliwość. Tem mniejsza będzie szkoda, jeśli z mojej polegnie ręki.

Postanowiłem go zgładzić.

Sposobem najprostszym był ten wypróbowany środek, którego zażył krakowski szewczyk, co zgładził wawelskiego smoka: dał mu do pożarcia taką miksturę, że się smok rozpuknął. Sposób to był łatwy z tego chociażby względu, że najmniejszych trudności nie przedstawiało zdobycie pożywienia o właściwościach burzących dynamitu; należało wziąść połowę bufetu od Karpowicza i połowę od Trzaski, a niedźwiedzisko, chytrze tem nakarmione, pękłoby z hukiem gromu. Nie byłby to jednak postępek rycerski; nie można bożego stworzenia karmić tem, co jest przeznaczone dla ludzi. Można zabić, lecz nie wolno się znęcać. Nie pozwala na to zresztą honor myśliwca, dla którego rozkoszą jest stanąć oko w oko ze wspaniałym królem lasów. Kordelas, — dobrze! — ale nigdy majonez!

Nadszedł nareszcie mój wielki dzień. Był wtorek. Słońce tarzało się rozkosznie po łąkach, w powietrzu była złota cisza, czasem tak brzmiąca, jak pijana zapachem kwiatów pszczoła. Zakopane spało jeszcze w błogiej beztrosce i w dawno niezmienianej pościeli, kiedy ja, w tajemnicy największej, wybrałem się w drogę. Nie chciałem, aby ktokolwiek wiedział o tem, czułem bowiem niewyraźnie, że niedźwiedź cieszy się w sferach, gminą władnących, nierozumną, choć cichą sympatją. Dojechawszy w okolice Łysej Polany, zatrzymałem automobil, spracowanego Forda z „Sanato", taki dziwny wóz, co może jechać nawet na trzech kołach, sam zaś szedłem wzdłuż drogi w górę.

Było już około dziesiątej. Wędrowałem uparcie, czując, jak moje serce staje się coraz bardziej



Pejzaż zimowy w Zakopanem

Fot. Marjan Fuks

bezlitosne. W zanadrzu miałem nóż do krajania szynki, pożyczony w Bazarze, w kieszeni starego, lecz niezawodnego Colta, pożyczonego od malarza Koniewicza, co bronił Lwowa. Jak na niedźwiedzia, była to broń dość mizerna, lecz zato ogromny, nowoczesny, ciężki arsenał miałem we wzroku: od mojego spojrzenia w tej chwili padłby trupem mamut, cóż dopiero niedźwiedź. Krew grała we mnie, a dusza zawodziła dziwną pieśń, złożoną z samych okrzyków; tak musieli w rozszumianej puszczy śpiewać ludzie pierwotni.

Czujny na każdy szelest, usłyszałem warczący w wielkiej jeszcze oddali automobil; po chwili, kiedy mnie miał minąć, zatrzymał się nagle. Jakiś pan, jakaś pani i blady szofer zaczęli mi dawać rozpaczliwe znaki.

— Panie! — wołano, — niech pan siada z nami... Czemprędzej!...

— Czemu?

— Tam... tam... niedźwiedź! Niech pan ucieka...

— Niech on ucieka! — odrzekłem twardo. — Gdzie jest w tej chwili?

— Niedaleko, po lewej stronie. Może nas goni! Niech pan siada!

— Śmierć! — krzyknąłem, sam nie wiedząc czemu.

Musiałem przytem mieć w spojrzeniu coś straszliwego, gdyż blada pani wrzasnęła przeraźliwie.

— To warjat! — krzyknął blady pan.

Automobil pomknął w dół. Zostaliśmy we dwóch w obliczu rozgorzałego słońca: niedźwiedź i ja. Och, nie! Był z nami ktoś trzeci, jadowicie uśmiechnięty: śmierć.

Ścisnąłem w ręku nóż; w kieszeni drzemał Colt, jak pies, który się nagle zbudzi i warknie.

Musiałem być blady, bo czułem, jak krew spływa ku sercu, obłąkanemu w tej chwili dziką żądzą tryumfu. Równocześnie obudził się u mnie prawieczny instynkt łowcy; zacząłem stąpać, jak kot, czujnie i bacznie. Czytałem ze śladów na ziemi, jak z książki; łowiłem uchem najmniejszy szmer; rozdętemi nozdrzami chwytałem wiatr, chcąc poczuć zapach niedźwiedzia. Przypuszczałem, że niedźwiedź wydaje woń ostrą i niemiłą, choć w tym względzie nie miałem absolutnej pewności.

Kilkakrotnie omamił mnie wzrok, mało wprawny, zwyczajne bowiem pnie przybierały opasłą posturę niedźwiedzią. Aż nareszcie...

Ujrzałem go w odległości jakichś stu metrów. Serce moje przystanęło na chwilę, poczem rzuciło się w cwał, jak spłoszony koń. Zwierz schodził zboczem od strony gościńca ku lasowi. Szedł dziwnie, bo na tylnych łapach; wprawdzie niedźwiedzie przybierają czasem taką pozycję, modą jednak u niedźwiedzi ogólnie przyjętą jest chodzenie na czterech łapach. Był to więc zapewne jakiś cygański niedźwiedź, co uciekł od swojego pana i demonstruje obecnie swoją dwunożną cywilizacyjną ogładę. Nie był zbyt wielki i sprawiał wrażenie dość mizerne: wlókł się raczej, niż szedł, często przystając. W tej chwili powiał wiatr od jego strony; czuć było najwyraźniej naftalinę... Albo naturaliści się mylą, albo ja zrobiłem nowe odkrycie: więc woń niedźwiedzia przypomina naftalinę!

Przyczaiłem się za jakimś chojarem i obserwowałem ruchy zwierza. Nie poczuł mnie i zbliżał się ku mnie powoli. Nagle przyspieszył kroku, a we mnie dech zaparło; widziałem go tuż, tuż... Jeśli mnie ujrzał, dramat rozegra się za chwilę. Idzie, idzie... Czy ku mnie? Nie! Zbacza, pochyla się z wielkim trudem i — coś podnosi; jeżeli głaz, to będzie dla mnie. Nie, to nie głaz... Niedźwiedź podniósł przyniesioną gdzieś z gościńca przez wiatr gazetę. Na wszystkie niedźwiedzie świata! — to była naprawdę gazeta. Chciało mi się śmiać, lecz nie miałem na to czasu, bo po chwili dusza we mnie zamarła. Może się zdarzyć, że niedźwiedź podniesie z ziemi białą płachtę papieru, jest to bowiem zwierzę figlarne, lecz nie może się zdarzyć to, co się zdarzyło, a że się zdarzyło, przysięgam na honor myśliwca! Niedźwiedź odszedł w ustronie, poczem przysiadł na pniu i zaczął tę gazetę czytać.

Widziałem rachującego konia; widziałem szympansa, palącego cygaro; widziałem tańczącego słonia; widziałem fokę, grającą w football; widziałem wiele rzeczy, nigdy nie widziałem jednak niedźwiedzia na wolności, czytającego gazetę. Trzymał ją w niezgrabnych łapach, odwracał stronice i czytał, najwyraźniej czytał.

— Uciekaj! — krzyknęła we mnie dusza, — to nieczysta sprawa...

Tak, to było ponad ludzkie pojęcie. To było przeraźliwe. To straszliwe, naftaliną pachnące bydlę może właśnie czytało z zadowoleniem o sobie i o popłochu, który szerzy. Dlatego jest zapewne takie złośliwe, że czytuje gazety, dlatego zapewne stało się zmorą i widmem. Taki niedźwiedź żyć nie powinien, czort, nie niedźwiedź.

Dobyłem Colta i ze zgrozą w oczach szedłem ku niemu; wystarczył jeden ruch palca, abym mu roztrzaskał łeb.

A wtedy stało się coś najdziwniejszego: niedźwiedź porwał się z pnia, gazetę daleko od siebie odrzucił i podniósł obie łapy w górę, na znak poddania. Serce we mnie zamarło; osozłomił mnie ten przeraźliwy rozum zwierzęcia.

Nagle usłyszałem głos przyduszony i drżący:

— Niech pan nie strzela, panie Makuszyński!

Jedyny wypadek z gadającą oślicą Balaama zdarzył się zbyt dawno, aby ten gadający niedźwiedź nie był sensacją.

Zaśmiałem się głuchym śmiechem furjata.

— Pan mnie zna? — zapytałem.

Wtedy niedźwiedź z wielkim trudem zdjął z siebie głowę i rzekł zdyszanym, nieco od strachu zataczającym się głosem:

— Kto by pana nie znał? Niech pan pozwoli, że się przedstawię...

Powiedział jakieś nazwisko: Szarf, czy też Szorf, nie pamiętam. Z niedźwiedzia wylazła miła gęba, dość boleśnie uśmiechnięta.

— Nie mogę panu podać ręki, — rzekło wnętrze niedźwiedzia, — bo bym pana mógł podrapać, ale poproszę pana o papierosa.

Wetknąłem synowi niedźwiedzia papieros w twarz i uprzejmie przytknąłem doń zapałkę.

— Byłbym pana zastrzelił, — rzekłem, — po co pan robi niedźwiedzia.

Łagodny zwierz usiadł na pniu.

— Ciężkie czasy! — powiada, — a żyć trzeba.

— Z tego pan żyje?

— Nie o mnie idzie, ale o Zakopane. Pan wie najlepiej, że bieda na nas przyszła, więc się trzeba ratować. Trzeba było jakiejś sensacji, aby było o czem pisać w gazetach, więc wymyśliliśmy straszliwego niedźwiedzia, bandytę. Zrobiło się z tego dużo wrzawy i efekt był pierwszorzędny. Gmina dostarczyła skóry, a ja poszedłem na ochotnika. Na przyszły tydzień ma dyżur kto inny... Ja dzisiaj kończę. Panie drogi!

— Czem panu mogę służyć

— Niech pan o tem nikomu nie mówi. W imieniu Zakopanego proszę pana o to serdecznie. Za tydzień niedźwiedzia już nie będzie, bo niby pójdzie w góry. Więc niech pan o tem nie mówi nikomu. Niech pan nie myśli, że to łatwa robota; dzisiaj mam się pokazać jednemu Anglikowi, co będzie tędy przejeżdżał, bo mu to zaimponuje, ale zrobię to ze strachem, bo nuż taki strzeli?

— Przecie i ja mogłem pana zastrzelić! Mam rewolwer...

— Tak, ale pan nie byłby trafił!

Zwiesiłem smutno głowę; ta małpa niedźwiedź ma jednak rację.

Od tego zdarzenia wiele już upłynęło lat; niedźwiedź pokazał się jeszcze ze trzy razy i straszył całą Polskę. Potem już znikł bezpowrotnie, bo skóra tak wyleniała, że nie można nią było nastraszyć nawet pana Hirszprunga, co w Zakopanem ma bank domowy.

LIST M. FRENKLA

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jako lojalny wykonawca wielu ról w pięknych Pańskich sztukach, czuję się w obowiązku skreślenia tych paru słów. Jest to zwyczajne zawiadomienie, że żyję i wiele rzeczy przeżywam i chociaż to Pana Redaktora ani parzy, ani ziębi, dobrze jest czasem wiedzieć, co się w eleganckim świecie dzieje.

Przyjechałem do Zakopanego. Bardzo sobie jestem wdzięczny, że to zrobiłem. Pięknie tu. Mróz 20°, śnieg wyżej kolan. Bardzo dobrze, że śniegu nie zmiatają, gdyż to daje wrażenie pustyni w strefie polarnej. Właściwie źle się wyraziłem: „pustyni". Jest tu bowiem wiele wysokich domów i dużo ludzi na Krupówkach. Piękne damy, ubrane po męsku, szarżują na nartach. Póki z przodu, to dobrze! Z tyłu mam wrażenie, że w wielu wypadkach bardzo łatwo jest rozróżnić narciarza od narciarki.



Mieczysław Frenkiel na Krupówkach

Fot. Marjan Fuks

Powietrze cudne! Ale klimatyka temu nie winna.

W trzy dni po przyjeździe słyszę pukanie do drzwi mego pokoju.

— Proszę.

Wchodzi jakiś pan z teką.

— Czem mogę służyć?

— Pan dobrodziej będzie łaskaw zapłacić taksę klimatyczną.

— Taksę? No, dobrze. Przepraszam, za co to i na co idą te pieniądze?

— Za porządki, a pieniądze idą na inwestycje.

Nie wiem, dlaczego, może byłem zdenerwowany, ale porwał mnie jakiś spazmatyczny śmiech. Urzędnik patrzył na mnie, jak na warjata. Wreszcie powiedział:

— To ja może później przyjdę.

Dancingi odbywają się o każdej porze i na każdem miejscu.

Na czterech kwadratowych metrach tańczy trzydzieści par. Drepczą w miejscu. Po wydreptaniu różnych chałaśliwych melodji — oberek!

Melodysta pokrzykuje zachęcająco:

U-ka! Krew sarmacka zaczyna grać. Pan Kufelbier z panną Folbrust sypią „przyklękanego". Za oknami mróz. Sala rzęsiście oświetlona. Elektryczność gaśnie od czasu do czasu.

Przypomina to nasze starodawne:
„Jedzie kulig, jedzie,
„Starosta na przedzie!" i t. d.

Panowie spoceni, jak od młocki. Nic dziwnego, ubrani ciepło w wełniane swetry. Buty o czterech grubych podeszwach, skarpetki wełniane wywinięte na buty. Niektórzy zgoła rozebrani. Panie w pięknych toaletach. W powietrzu unosi się pewien swoisty zapach a tak skomplikowany, że trudno go określić. Jednem słowem, wesoło, przyjemnie i... drogo?

Odbyły się tu próbne skoki na „krokwi". Dzięki uprzejmości p. Marjana Fuksa, który tu jest naturalnie i niezmordowanie wyłapuje aktualności, mogłem podziwiać te karkołomne w y c z y n y (nowy wyraz! Do c z y n dodaje się tylko w y... i gotów). Tak, jak mówi Jenjalkiewicz: s t r e s z c z o n y nowy wyraz pochodzi od t r e ś ć!

Słyszałem przy tej sposobności następującą rozmowę:

— „Moja Maniu, zupełnie niepotrzebnie wyciągnęłaś mnie na to skakanie. Wielka historja! Skacze jeden po drugim i koniec! Nawet żadnego wypadku nie było. W zeszłym roku jeden połamał nogi i żebra — była emocja. Zmarzłam na kość. — Wracajmy! Warto tu poświęcać całość swoich członków dla takich wielbicieli sportu!?

Pogoda cudna! Powietrze przeczyste! Zakopane ma jednak swoje uroki. Ja sobie spaceruję poważnie bez wielkich wstrząsów od Karpowicza do Trzaski i z powrotem i jestem zadowolony, że jestem!

Z wysokim szacunkiem
całego sportu (że się tak mówi)
sługa
Mieczysław Frenkiel

SEZON — CZY SEZONY?

Statut uzdrowiskowy wyznacza Zakopanemu sezon całoroczny, z czego korzystając, komisja klimatyczna nakłada na przyjeżdżających tutaj jednakowe opłaty w ciągu całego roku.

Protestują często przeciwko temu nasi goście, bo, ich zdaniem, tylko w miesiącach letnich i zimowych warto z biedą składać klimatyce ten haracz: w listopadzie nie chodzi się przecież w góry, w maju zaś nie jeździ się na saneczkach i nartach — jesienią i wiosną nie grywają w restauracjach tak głośne orkiestry, a więc nawet dancingów niema...

Właściciele hoteli i pensjonatów nie wyzyskują dobrowolnie swych praw i chętnie z nastaniem jesieni i wiosny obniżają opłaty swym gościom, w dwuosobowych pokojach umieszczają bez sarkania po jednej osobie, ba, nawet nie dopytują się zbyt natarczywie o stan zaraźliwości przyjeżdżającego. Dorożkarze jeżdżą chętnie w tych martwych sezonach „po taksie", gdy latem i zimą żądają często i kategorycznie, by sobie goście sami „na taksie" jeździli. Tą ustępliwość miejscowych czynników tłomaczy się tem, że gdy Rabka, Iwonicz, Szczawnica, Truskawiec i inne letnie zdrojowiska tętnią już od maja pełnią sezonu, u nas, w Zakopanem, w tem „całorocznem" uzdrowisku można jeszcze w czerwcu śmiało przemalowywać szyldy pensjonatowe, łatać materace i poprawiać płoty, bo dopiero zaledwie w połowie lipca rozpoczyna się prawdziwy, sezonowy ruch.

Trwa on sześć tygodni, bo z końcem sierpnia powstaje już taki gwałt i rwetes na dworcu kolejowym, że naprawdę trudno wtedy wyjechać.

Drzemie potem Zakopane do połowy grudnia i ocknąwszy się — przebiera się w czystą, białą szatę na Święta.

I znowu ruch, brak miejsc w hotelach i pensjonatach, pracuje skocznia, roją się Lipki, skrzeczą jazzbandy.

Sezon zimowy trwa do połowy marca.

Taki to już zwyczaj, że nasze „całoroczne" uzdrowisko idzie całą parą zaledwie pięć miesięcy w roku. I dziwić się nie można tym, którzy latem przyjeżdżają tu, jako turyści, ani tym, którzy spędzają u nas wywczasy świąteczne, ani tym, którzy z zapałem oddają się narciarstwu, — że uznają tylko i jedynie te sezony. Ale Zakopane daje nietylko dancingi i saneczki, nietylko narty i wysokogórskie wycieczki, ale daje ono zdrowie i dlatego nazywa się „uzdrowiskiem".



Rozmus (Polska) przy zakończeniu skoku

Fot. Marjan Fuks

Otóż wie o tem ogół i zjeżdżają tu liczne rzesze słabowitych i chorych, z różnemi dolegliwościami, przeważnie płucnemi, ale i ci wszyscy pragną się leczyć przeważnie tylko w miesiącach letnich i zimowych. Panuje powszechnie jakiś dziwaczny i niczem nie wytłomaczony przesąd, że wiosną i jesienią leczyć się w Zakopanem nie można, bo w tych okresach wieją tutaj stale wiatry halne, szkodliwe dla zdrowia, że niema słońca, że padają ustawicznie deszcze.

I taki biedny chory gnieździ się Bóg wie jak i Bóg wie gdzie, za swoje drogie pieniądze w tych pełnych sezonach i nie znalazłszy odpowiednich dla swego zdrowia warunków, wraca często niezadowolony, bo bez poprawy, do domu.

A gdyby ten sam chory przyjechał tutaj właśnie na tak zwane sezony martwe, nie straciłby przecież nic z dobrodziejstw górskiego klimatu i znalazłby z pewnością, wobec braku przepełnienia hoteli i pensjonatów w tych okresach, — zupełnie dobre warunki dla swego zdrowia i stanu swej kieszeni.

Wrzesień i październik, to przecież zwykle najpiękniejsze, a zatem odpowiednie do leczenia miesiące, kwiecień należy z reguły do miesięcy najwięcej nasłonecznionych, a wiatry halne nie mają przecież przywileju wiania stale w tych samych okresach.

Mam przed sobą „Wyniki spostrzeżeń meteorologicznych Stacji Zakopiańskiej" w roku 1923, 1924 i w zimie 1925 i szukam w nich tych wiosennych i jesiennych wichrów. A zatem broił ten wiatr w r. 1923 przez 26 dni (i to w marcu 1 dzień, w kwietniu 3, w maju 2, w sierpniu 4, we wrześniu 5, w październiku 3, w listopadzie 5 i w grudniu 3), w r. 1924 przez 17 dni, (a mianowicie: w styczniu 1 dzień, w marcu 2, w maju 3, w czerwcu 2, w lipcu 2, w sierpniu 1, we wrześniu 3, w październiku 2 i w grudniu 1 dzień).

Nie miejsce tu przytaczać wszystkie dane meteorologiczne, jak ciśnienie powietrza, temperaturę, bezwzględną czy względną wilgotność, zachmurzenie i opady, które to spostrzeżenia stwierdzają, że nie mamy w całym roku takiego okresu, który mógłby przynieść szkodę organizmowi ludzkiemu, — ale wspomnieć muszę o pomiarach natężenia promieniowania słonecznego w Zakopanem.



Zakopane. Plażowanie na Lipkach. Fot. Marjan Fuks

Otóż te pierwsze pyrheljometryczne pomiary wykonał tutaj w r. 1903 — August Witkowski, prof. fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego [1]). Dopiero w r. 1924 — powtórzył te pomiary E. Stenz [2]), ale w trzech różnych porach, (w styczniu, kwietniu i wrześniu). Główne maximum promieniowania przypada w kwietniu, drugie we wrześniu, minimum zaś w grudniu. Naogół należy stwierdzić, że to promieniowanie w Zakopanem dzięki jego położeniu ku południowi i wysokości nad poziomem morza (833 — 900 m.), jest wyraźnie wyższe, aniżeli w nizinach. Mgły i dymy osłabiają oczywiście promieniowanie; ponieważ nie mamy dotąd skutecznych sposobów do walki z mgłami, to powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by walczyć z produktami spalania. Ponieważ koks i drzewo dają dymu znacznie mniej, a gaz świetlny można spalać zupełnie bez dymu, należy te sprawy mieć na uwadze przy rozbudowie Zakopanego.



Zakopane. Vedetty narciarskie: Brończia Staszel-Polonkówna (Polska) i B. Havlova Friedlienderowa (Czechosłowacja)

Zdając sobie sprawę z ważności dla Zakopanego uzdrowiska tych pomiarów, kierownik naszej stacji meteorologicznej, p. J. Fedorowicz, zakupił dzięki poparciu komisji klimatycznej i Instytutu meteorologicznego w Warszawie odpowiedni aparat (aktynograf Richarda Gorczyńskiego) i od października 1925 r. pracuje stale nad natężeniem promieniowania słonecznego w Zakopanem. Porobił już pewne obserwacje na Gewoncie (1900 m.) i Świnicy (2306 m.) i okazało się, że gdy na Howerli (2058 m.) wynosiło promieniowanie 1.59 kal. [3]), na Jungfraujach (3487 m.) 1.63 kal., to na naszej Świnicy przekracza 1.6 kal. [4]) i okazało się, że pełne natężenie naszego górskiego promieniowania trwa dwa razy dłużej, aniżeli na równinach [5]).

[1]) Edward Stenz. Pomiary promieniowania słonecznego w Zaleszczykach i Zakopanem — Mesures de la radiation solaire à Zakopane. Lwów, 1928.

[2]) E. Stenz. Pomiary promieniowania słonecznego w Zakopanem w r. 1924. Kraków, 1925.

[3]) Kalorja gramowa na 1 cm^2 1 minutę.

[4]) Pełna wartość promieniowania na granicy atmosfery ziemskiej wynosi 1.93 kal.

[5]) 6 — 8 g. w górach — około 4 g. na równinach.

Są to wartości olbrzymie, pozwalające Zakopanemu mianować się chlubnie górskiem uzdrowiskiem.

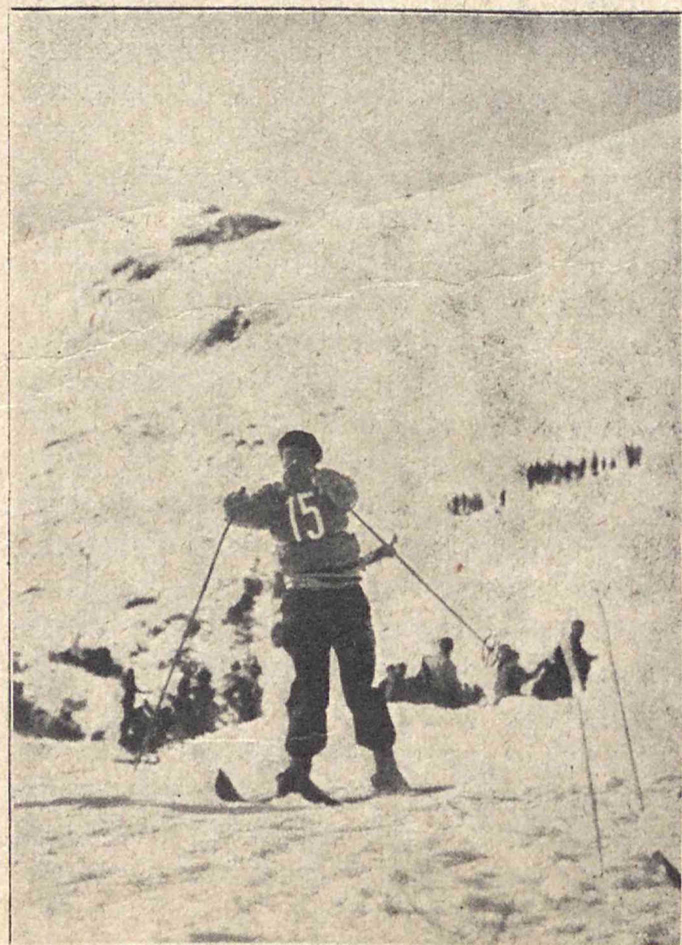
Jeżeli Krynica, Szczawnica, czy Ciechocinek poddają swoje wody ścisłym chemicznym badaniom i pilnie dbać muszą, by te wody im nie zniknęły i skład ich nie uległ zmianie, czy zanieczyszczeniu, to Zakopane, którego jedyną wartością jest górskie powietrze, dbać musi o jego stałą czystość.

Gdy tutaj leczymy ludzi słońcem i klimatem, pomiary natężenia promieniowania — są koniecznością nieulegającą dyskusji. Bez tego — dawkowanie tych środków leczniczych jest niemożliwem, tak jak niemożliwem jest wydawanie z apteki leków na oko — bez wagi. Ponieważ, jak już wyżej wspomniałem, pracuje nasza stacja meteorolog. już obecnie nad tą sprawą — i to, co dotąd o tem wiemy, wykazuje ponad wszelką wątpliwość wielkie walory lecznicze naszego klimatu, to teraz chodzi o to, by te dane doszły do wiadomości ogółu i przekonały go, że mamy na naszej ziemi własne uzdrowisko całoroczne, śmiało mogące konkurować z innemi zagranicznemi wysokogórskiemi, głośnemi stacjami klimatycznemi.

Ale należy chronić i szanować to, co nam natura dała.

Należy Zakopanemu zachować koniecznie charakter uzdrowiska, a nie przekształcać go w miasto — bo Zakopane - miasto — zabije Zakopane - uzdrowisko.

Dr. Józef Żychoń



Świetny zawodnik angielski Bracken Wiljam

Zawodnicy angielscy

Drużyna fińska

ZAWODY NARCIARSKIE W ZAKOPANEM



Prezydent Rzeczypospolitej przyjmuje życzenia imieninowe od przedstawicielek Kursów narciarskich „Rodziny Wojskowej"



pułk. Franciszek Wagner prez. Pol. Narciarstwa

Fot. Marjan Fuks



p. Ministrowa J. Miedzińska, zapalona narciarka



p. Wacł. Makowski, b. min. spraw., z rodziną na wywczasach w Zakopanem

ZAWODY NARCIARSKIE W ZAKOPANEM



Fot. Marjan Fuks

Rozkoszny upadek



Simonsen norweg instruktor polskich narciarzy



Mistrzyni Europy. Góralka Bronka Polanówna (Polska)



Wojskowe kursy narciarstwa wysokogórsiego

Fot. Marjan Fuks

Kasprowicz a Zakopane

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko!
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko.

Dzielili mnie od was ludzie,
Wrzaskliwy rozgwar miasta
I owa śmieszna cierpliwość,
Co z wyrzeczenia wyrasta.

Oddalne to są przestrzenie,
Pustkowia, bezpłodne głusze,
Przerywa je tylko tęsknota,
Co ku wam pędzi duszę.

(„Księga ubogich")

Jest coś przedziwnie wzruszającego w przywiązaniu Kasprowicza do Tatr, w szczególności do Zakopanego.

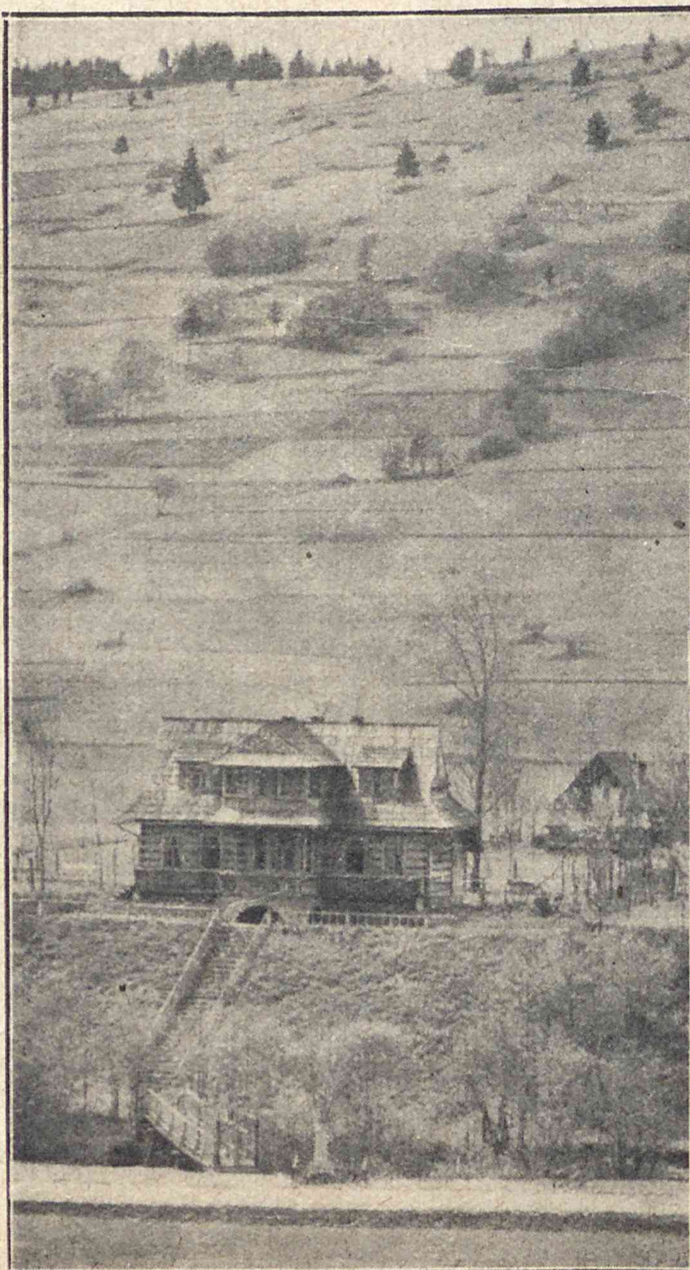
Wielu znakomitych pisarzy, muzyków, plastyków i filozofów osiadało na stałe w pewnych miejscowościach. Uciekali przed wrzaskiem wielkomiejskim, szukali schronienia przed wścibską ciekawością otoczenia, leczyli w ciszy zapomnianej mieściny czy wsi skołatane nerwy, pragnęli skupienia w ścisłym kontakcie z przyrodą, nie kaleczoną technicznemi wymysłami, spodziewali się inspiracji, której ponoć miłościwą matką jest samotność i ukojna monotonność małego zakątka, z całą jego czarującą prostotą i niewymyślnem pięknem — rzadko jednak ktoś tak głęboko, serdecznie, z jakąś panteistyczną pasją kochał skrawek ziemi, jak Kasprowicz Zakopane.

Dla tego tytana poezji polskiej Tatry były jakby kolumnami, dźwigającemi jego myśli podobłoczne i Prometeuszowe zamierzenia — wicher halny oddechem płuc, za któremi tłukło się spiżowe serce — smreki śmigłe promieniami jego ócz sokolich i tak dobrych — słońce górskie, inne, niż gdzieindziej, jego inną, niż innych, duszą — rytm rozkolebanych kwiatów górskich, zgodnym rytmem Jego istoty. Cała zresztą postać Jego była jakby wykuta w granicie. Głowa, jak ryta piorunami krzesanica, ukrywająca też pioruny w swem wnętrzu, kosmyk włosów nad czołem, jak żleb staczający się w jezioro, cały tors, jak osiadła skała. Na niziny się nie nadawał, tak w życiu, jak i w poezji.

W najgłębszem tego słowa znaczeniu Syn Ziemi, czuł się na stałe źle w mieście; kłamliwa cywilizacja raziła tego genjusza i filozofa, artystę i wyrafinowanej kultury człowieka, który tyle znał i widział, tyle skarbów po świecie nabrał w oczy — dlatego też nie osiadł we Lwowie, gdzie mu miasto ofiarowało parcelę i miało wybudować, napewno w nieciekawym „stylu", willę, lecz uciekł poprostu w góry i w trudzie wielkim nabył sobie skromne osiedle, na Harendzie.

Nie wyszukany to dom, żaden „pałac", „willa", lub „dworek" — raczej chata z bierwion złożona, taka właśnie, jak przystało na takiego człowieka i w takiem miejscu. Nawet go zresztą nie było stać na lepszą! Ano, rzecz działa się przecież w Polsce, gdzie poeta... itd., na znaną aż nadto nutę.

Ale jakże mu tu dobrze było! Jak cieszył się każdym nabytkiem gospodarskim, jak pilnował ubożuchnego dobytku wraz z ukochaną żoną, nieocenioną Panią Marusią, jak gazdował z przejęciem i planował ulepszenia, żeby to wszystko było, jak w porządnem obejściu! Pamiętacie śliczny feljeton Makuszyńskiego z okazji wybudowania na Harendzie studni z żurawiem? Tak było istotnie. Ten wielki poeta a zarazem najskromniejszy człowiek, z duszą Brata z Assyżu, śpiewał hymny radosne na cześć tej wymarzonej studni! Śpiewał je na cześć każdego kwiatu, każdej trawy, ukochanej swej rzeki, która szumiała mu u stóp domu, drzew, z któremi rozmawiał, bo utajone ich życie i sens rozumiał, jak nikt inny. Nie robił poezji na temat gór, lecz wytchnął z siebie cały czar Podhala w sposób nie dla każdego dostępny. Bo ta prostota „Księgi ubogich", która powstała na Harendzie, ma w sobie jakąś ewangeliczną czystość i wielkość pieśni św. Franciszka i Giottowskich płócien. A nie każdemu danem jest rzeczy tych się dotknąć. Strzeże je głęboka tajemnica, zrozumiała tylko dla wybranych...



Harenda. Dom ś. p. Jana Kasprowicza

Do ostatnich chwil jakżeż krótkiego dla nas Jego życia, patrząc przez okna swej chaty, dyktował te głębokie a proste pieśni, w których jest niejako testament jego twórczości i pouczenie dla otoczenia.

„Ta jedna licha drzewina,
Nie trzeba dębów tysięcy!
Z szeptem się ku mnie przegina:
„Jest Bóg i czegóż ci więcej?".

To małe, nędzne pacholę
Prawi mi, patrząc w oczy:
„W twem jednostajnem kole
Wieczność wraz z tobą kroczy"...

Czy to nie strzelista modlitwa turni tatrzańskich dyktowała te słowa, jak one proste, mocne, piękne?

Taką mocną, prostą i piękną miłością kochał Kasprowicz Zakopane i otaczające je góry. Kiedyś, słaby już bardzo, mówił do mnie:

— „Za późno tu przyjechałem. Trochę wcześniej, a wierzę, że byłbym zdrowy. Tu wszystko jest zdrowiem: powietrze, góry, wiatr, kwiaty, barwy i woń. A tyle się tu można nauczyć! Od ludu, od gór właśnie i tego ducha, który tu sobie chadza graniami. Hej, mocny Boże! zaśpiewać sobie na tutejszą nutę, też inną, jak na całym świecie! Żeby ino módz — dodał ciszej, ze smutnym uśmiechem".

Dziś, w przypadającą niedługo drugą rocznicę Jego śmierci, jakże przypominają się te jego słowa i ta cała Jego ogromna miłość do Zakopanego. Miłość, która jest zaszczytem wiecznotrwałym dla naszej „letniej stolicy". Zasługi niepomierne położyli dla Podhala: Goszczyński, Chałubiński, Witkiewicz, Pawlikowski, Tetmajer i inni, nikt może jednak tak gorąco go nie umiłował, nikt tak nie przylgnął do niego sercem, nikt nie był tu tak szczęśliwy i tak pragnął prochy swe złożyć, jak Kasprowicz.

Stało się zadość życzeniu Twór-

cy „Księgi ubogich". Leżv na zakopiańskim cmentarzu, gdzie

„... o ludzie zmęczeni! —
Czuwa nad naszym spoczynkiem
Rząd pewnych siebie jesieni".

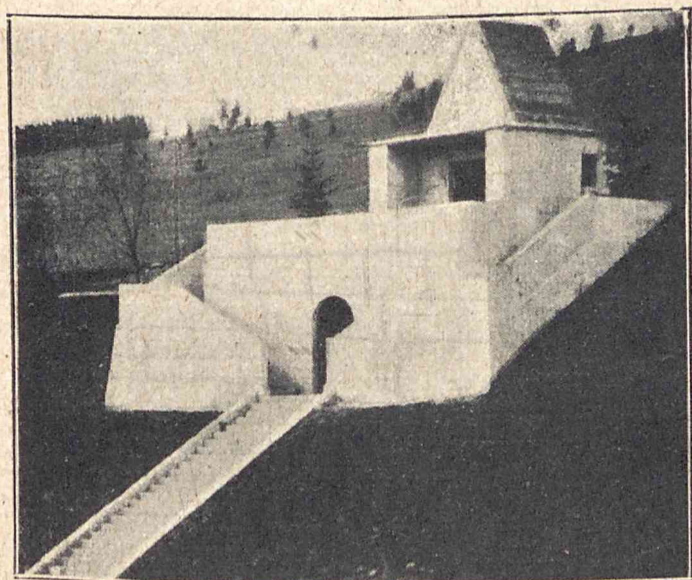
Ale z cmentarza na Harendę jest dość daleko, a Jemu tak w tej Harendzie było dobrze! Żeby więc duch Jego mógł gazdować w okolu tej kochanej Harendy, wybudowano grobowiec - mauzoleum, gdzie miano przenieść doczesne szczątki. Mauzoleum zaprojektował bardzo pięknie Stryjeński, włożył w nie wiele pracy, ale budowę tę musiano przerwać, bo... niema funduszów!

Jakże to?

Niema dla Kasprowicza?

Są przecież w Polsce ludzie bogaci, kochający poezję i rozumiejący, czem jest ta poezja w życiu kulturalnego narodu — są wydawcy, żywiący niewątpliwie kult dla genjalnego Poety — jest rząd — a w pierwszym rzędzie gmina Zakopane!

Przecież dla Zakopanego grobowiec Kasprowicza, to kiedyś miejsce pielgrzymek, estyma i duma, że tu spoczął na wieki Ten, który tak ukochał ten zakątek ziemi polskiej, że nie chciał leżeć w honorowem miejscu, gdzieś na Skałce, gdzie Mu przynależy, lecz na spłachciu tatrzańskiego pola, gdzie ślady stóp swoich pozostawił, w otoczeniu szczytów, po których błąkały się jego myśli, wśród zieleni i skromnych kwiatów, jakie były Mu natchnieniem i ukojeniem ostatnich chwil.



Mauzoleum J. Kasprowicza

Grobowiec Kasprowicza to nowy szczyt!

Turyści poezji polskiej będą szli na niego w zbożnem skupieniu przez długie, długie lata...

Artur Schroeder

„SANATO" WŁASNOŚCIĄ POCZTOWCÓW

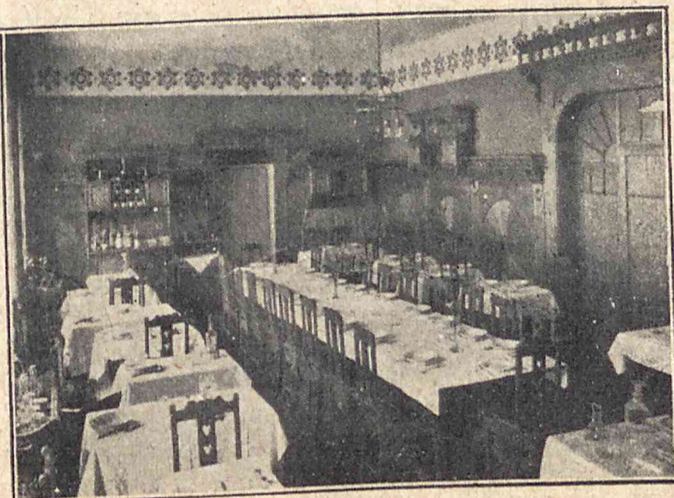


Prezydjum Zarządu Głównego Związku Pracowników Poczty, Telegrafu, i Telefonów Rzeczposp. Polskiej. Od lewej ku prawej siedzą pp.: J. Jaskulski, prezes J. Stangreciak, S. Sobociński i J. Borszewska. Stoją pp.: A. Kopczyński, A. Geyer, W. Godusławski i R. Rudnicki Fot. Marjan Fuks

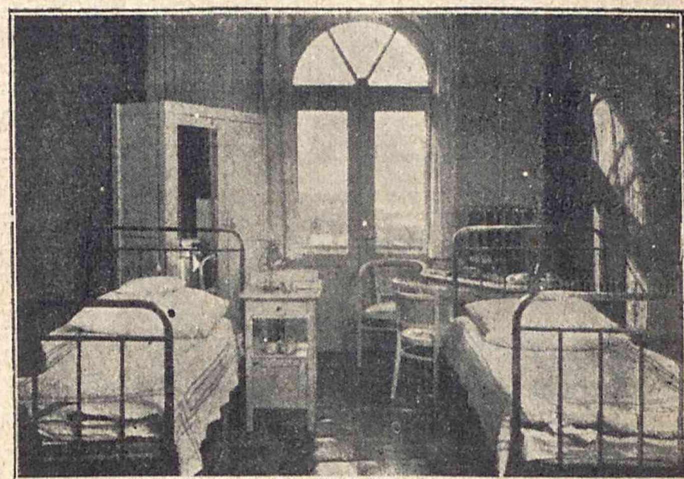
Jeden z najpiękniejszych gmachów w Zakopanem. Pełne tradycji, cudownie położone „Sanato", z dniem 23 grudnia r. z. przeszedł na własność Związku Pracowników Poczty, Telegrafów i Telefonów R. P.

Wprawdzie, od 1 kwietnia r. b. zamkną się podwoje miłego „Sanato" dla wielu takich, którzy całe życie tam wypoczynku i zasiłku dla dzrowia szukali, ale sfery te, zresztą, zamożne muszą pogodzić się z tą nowiną, że na przyszłość z „Sanato" będą korzystać szerokie masy pocztowców, którym niezbędnem będzie nabranie sił i tężyzny dla solidnego wypełniania ciężkich obowiązków obsługi komunikacji pocztowo - telegraficzno - telefonicznej.

Nabycie „Sanato" jest ziszczeniem wieloletnich marzeń licznych rzesz pracowników pocztowych i zasługą Ministra Poczt i Telegrafów p. Bogusława Miedzińskiego, który swoim poparciem i pomocą w zdobyciu niezbędnego i na wygodnych warunkach kredytu dopomógł do zrealizowania tego wspaniałego pomysłu.



Stołowy pokój w „Sanato"
Fot. Marjan Fuks



Jeden z pokoi w „Sanato" z widokiem na Giewont
Fot. Marjan Fuks

Tranzakcję nabycia „Sanato" przeprowadził obecny Zarząd Główny, w składzie następującym:

Pp. Prezes — Józef Stangreciak, vice-prezesi — J. Jaskulski, St. Sobociński, W. Godusławski; sekretarze: R. Rybnicki, A. Geyer, skarbniczka — I. Borszewska, zast. skarbn. — E. Kopczyński i członkowie Zarządu: J. Królewiak, J. Szczerba, W. Marszalski, A. Mackiewicz, I. Starzyk J. Wosik, H. Mackiewicz, F. Luboński, S. Jaszcz, J. Adamczak, J. Stypa, J. Smukała, S. Naszarkowski, E. Markiewicz i S. Dadan.

M. F.

Pod hasłem ogólnego uszanowania dla pary desek

(Ewolucja czy rewolucja narciarska?).

Zanim słowo stało się ciałem i przeciętny obywatel Rzeczypospolitej przedzieżgnął się w narciarza, rzecz miała się następująco:

Był długi, długi bambus, przypominający maszt na yachcie żaglowym. Ten kilkumetrowy drąg zaopatrzony był w morderczy szpikulec z kutego żelaza; w wielkiem poszukiwaniu były wówczas stalowe groty, możliwie jaknajwiększych rozmiarów. Można nim było bez najmniejszego trudu przebić nawylot każdego wroga narciarstwa i wszystkich rozkoszy jego.

Otóż na maszcie tym siedział okrakiem gentleman z parą szerokich, ciężkich desek, przymocowanych do butów.

Od tego drążka zaczęła się pełna piekielnego rozmachu rzeczywistość narciarska.

Po pagórkach zakopiańskich włóczyły się cudacznie odziane dziwolągi, strasząc swym wyglądem statecznych obywateli podtatrzańskich. Gdy taki okaz przejeżdżał ulicą, dzieci uciekały ze strachem do domów, a młode niewiasty, spodziewające się potomstwa, dyskretnie znikały za węgłem, żeby przypadkiem nie zapatrzeć się na takiego djabła.

Jeżeli nie wierzycie, że tak było, to możecie wszystko sprawdzić naocznie na fotografjach, które zachowały się do tej pory w niejednem albumie zakopiańskiem.

Dziwne to były czasy!

Chodziły słuchy po ludziach o fenomenalnych narciarzach, lęgnących się w zimowem słońcu górskiem.

Mistrzowie kija pokazywali sztuki nielada.

Zdecydowawszy się przypiąć czarodziejskie deski, stawali wobec nierozwiązalnej zagadki, co robić z niemi i jak to się wogóle człowiek ma zachować podkuty jak sanie płozami.

Najprostszem rozwiązaniem kwestji była jazda na łeb na szyję. Dokazywano cudów waleczności. Opowiadają sobie ludzie na ucho o warjatach, zjeżdżających po pionowych ścianach tatrzańskich z szybkością dzisiejszych samolotów. Wszystkie obecne rekordy, to bajki w porównaniu z kosmiczną szybkością, osiąganą przy „szusie" z Wrótek w Giewoncie, Kasprowego lub żlebem Wściekłych Węży na deskach wypoliturowanych, jak szkło. Chadzali nieliczni bohaterzy sztuki narciarskiej z chmurnemi minami po Krupówkach.

Pokazywano sobie palcami tych opętańców, którym życie zbrzydło i którzy szukają nagłej a niespodziewanej śmierci w śnieżnych objęciach.

Potem nastąpiła wielka przemiana.

Zdobyto któregoś dnia tajemną wiadomość o jakimś „łuku alpejskim". Paczka warjatów od drąga omało nie pękła z radości.

Zaczęło się oranie stoków tatrzańskich w potężne esy, floresy.

Na Kalatówkach odbyły się „zawody narciarskie", w których opatuleni po dziurki od nosa wzięli udział co najznakomitsi ludzie owej epoki z pewnym tarternikiem na czele, chadzającym dzisiaj w randze generała.

Szus z Kasprowego, meta na Kalatówkach.

Pięciu panów w sekundowych odstępach czasu spadło, jak z nieba, na cichą, pustą halę. Popili rumu dla oprzytomnienia po wściekłym pędzie, chrząknęli, splunęli, podali sobie ręce i rozjechali się do domów.

A dzisiaj?

Przez kilka miesięcy Europę wstrząsają sensacyjne wieści o wielkich, międzynarodowych zawodach „Fis" w Zakopanem.

Poselstwa i ministerstwa kilkunastu państw mają istny zawrót głowy. Narciarze depczą po piętach zmaltretowanym urzędnikom.

Na przestrzeni Kraków — Zakopane — Warszawa wszystkie druty jęczą pod dyktando narciarskie.

Wielkie, międzynarodowe zawody!

Ludzie oszaleli.

Na kilka miesięcy naprzód zamawiają pokoje w pensjonatach.

Kilka tysięcy pokoi zarezerwowano dla przyjezdnych.

Gdzie kto kiedy słyszał o takim potopie ludzkim w Zakopanem!? Z piętnastu stolic europejskich mkną pod Tatry wagony, pełne rozgardjaszu narciarskiego.



Simonsen, norweg, instruktor polskich narciarzy w skoku na 62 metry

Fot. Marjan Fuks

Zakopane iluminowane, przystrojone, pęka i mdleje od międzynarodowych uścisków.

Na wąskich Krupówcerkach istna wieża Babel!

Anglicy, Hiszpanie, Niemcy, Włosi, Szwajcarzy, Węgrzy, Austrjacy, Francuzi, Rumuni, Łotysze, Szwedzi, Norwedzy, Czesi, Jugosłowianie, Finnowie!

Czarne gęby włoskie śmieją się do złotowłosych, różowych fizjonomji północnych magów narciarstwa.

Rumuni na migi gadają z anglikami, francuzi w najlepszej komitywie z niemcami. Co tam wszystkie Reny i zagłębia, odszkodowania i sztuczki polityczne znaczą wobec tego, że jutro czeka ich nadludzka walka na trasie biegu 18-kilometrowego!?

Austrjacy z Włochami w najlepszej komitywie muszą losować numery dla swych zawodników, a norwedzy ze szwedami wspólnie ubijają śnieg na skoczni w nadziei, że odwet za St. Moritz wezmą na Krokwi.

Pokazują sobie ludzie na Krupówkach tęgich rosłych chłopów, opalonych „na czekoladę" i poprostu języki im się plączą od nazwisk znakomitych specjalistów biegu i skoku.

— Patrz, to Rund. Ta bestja skacze na 72 m.

A to Andersen, a może i nie Andersen, ale także norweg, a oni wszyscy mają europejskich zawodników w pięcie!

— Słyszałeś, do 50 - i startuje, czterdziestu różnojęzycznych warjatów!?

— Idziemy na „odprawę" biegu patrolowego!

— Czy Bronek nabije tych wszystkich genjuszów północnych w biegu zjazdowym?!

— Kto jak kto, ale Brońcia Polonkowa nie zrobi nam zawodu!

I tak wkółko, wkółeczko, aż do zawrotu głowy.

I wszystko dla pary desek i dwuch cieniutkich kijków bambusowych!

Pięćdziesięciu trzech dziennikarzy zagranicznych pod opieką naszych matadorów szaleje z dziennikarską ciekawością.

Ministrowie, posłowie, wszelakich dygnitarzy bez liku.

Sam Pan Prezydent zaszczyca konkurs skoków swoją obecnością.

Na olbrzymiej polanie pod Krokwią tysiące, tysiące ludzi.

— Czy to dolina Józafata?!

Co za siła zegnała tutaj to mrowie niezliczone!?

Z wszystkich krańców Europy zjechali się ci, którzy pokażą na olbrzymiej ścianie skoczni sztuki nad sztukami i ci, co patrzą na ich brawurowe wyczyny, aby zapamiętać te krótkie chwile na długie miesiące i sycić się wspomnieniem wspaniałej walki człowieka z przestrzenią i szybkością. Kilkudziesięciu najlepszych skoczków świata stanęło na najwyższym rozbiegu.

Czerwone numery, zdobiące ich piersi płoną, jak kwiaty na białym stoku!

Oto kwiat narciarstwa!

Sławne nazwiska, po wielekroć powtarzane przez megafony na wszystkich skoczniach świata, na szpaltach tysięcy pism czerniejące grubym drukiem sensacji sportowych:

Recknagel, Glass, Böck, Zegg, Lauener, Wnillemier, Trojani, Rubi, Venzi, Nemecky, Dick, Wende, Purckert, Rund, Anderson, Rozmus, Czech, Sieczka, Zuckier, Zaydel, Mietelski, Żytkowicz i wielu, wielu innych. Oto wielki pojedynek wspaniałych umiejętności narciarskich, oto loty powietrzne, zamrażające krew w żyłach, zapierające oddech w piersiach.

Kontynent walczy ze Skandynawią, ojczyzną narciarstwa, o palmę pierwszeństwa w najpiękniejszym sporcie.

Przez szereg dni oczy całego świata sportowego zwracają się ku Zakopanemu, miljony ludzi czekają na wiadomość, kto zwycięży w tej walce?

Tutaj, pod Tatrami, gdzie jeszcze niedawno patrzono na narciarza, jak na nieszkodliwego manjaka, włóczącego się po górach, niewiadomo dlaczego i po co uganiającego na niewygodnych, zdawało się deskach, teraz w obecności wielu dostojników państwowych i międzynarodowej elity sportowej odbywa się wyścig o sławny tytuł zwycięzcy wśród zwycięzców, najpierwszego wśród pierwszych. Orkiestry grają marsza powitalnego, kołyszą się falą wielobarwną sztandary walczących narodów. Tysiączne tłumy biją brawo. Imiona skoczków spadających w przepaść śnieżną obiegają lotem błyskawicy olbrzymią polanę pod Krokwią.

Zakopane jest szczęśliwe!

Po wielu latach oczekiwań, gości na swoich śniegach elitę narciarstwa, walczącego o zaszczytny tytuł mistrza Polski!

M. Rytard

BUDŻET PAŃSTWOWY POLSKI

Dnia 11 b. m. Sejm uchwalił budżet na rok 1929/30. Zamieszczamy więc fachowe uwagi prezesa Sejmowej Komisji Budżetowej, posła Wł. Byrki.

Od czasu zmiany Konstytucji, wprowadzającej terminy dla uchwalenia budżetu przez Sejm i Senat, Polska posiada prawidłową gospodarkę finansową, opartą na we właściwym czasie uchwalonym budżecie. Tylko w roku zeszłym, z powodu wyborów, uchwalenie budżetu uległo opóźnieniu. W tym roku praca poszła normalnie i w tej chwili preliminarz budżetowy, po przyjęciu przez Sejm, znalazł się pod obradami Senatu. Przypuszczać należy, że Izba ta nie poczyni radykalnych zmian i że wobec tego już teraz możemy zdać sobie sprawę z planu finansowego Rzeczypospolitej na rok 1929/30.

Ma on znaczenie nietylko dla administracji państwowej, ale i dla całej gospodarki kraju, uzależnionej w wielkim stopniu od tego, ile środków pieniężnych zażąda Państwo na swoje potrzeby i jak zebranemi funduszami zadysponuje.

Chcąc przedstawić wpływ ten na życie ekonomiczne kraju, zwróciliśmy się do p. posła Władysława Byrki, prezesa Sejmowej Komisji Budżetowej i generalnego referenta budżetu, z prośbą o wyrażenie swej opinji o uchwalanym obecnie preliminarzu budżetowym.

— Czy nie uważa pan prezes — zadaliśmy pierwsze pytanie, — że budżet nasz wzrósł niepomiernie i przekracza możliwości finansowe kraju?

— Po wojnie daje się zauważyć szybki wzrost budżetów wszystkich państw. Wynika to z faktu, że zakres działania Państwa rozszerzył się w porównaniu ze stosunkami przedwojennemi z powodu rozwoju polityki socjalnej, pochłaniającej olbrzymie sumy. Przed wojną Państwo nie troszczyło się o bezrobotnych, o inwalidów, o kwestję mieszkaniową, aprowizację i t. p. Obecnie musi łożyć wielkie fundusze na te cele. W takich Niemczech państwo utrzymuje 2.000.000 bezrobotnych.

— Jak się nasz budżet przedstawia co do wysokości w porównaniu z budżetami innych państw?

— Odrzucam tego rodzaju porównanie, jako nie dające się przeprowadzić; zakres działania każdego państwa jest inny. To, co u nas pokrywa się z funduszów państwowych, gdzieindziej należy do samorządów i odwrotnie. Tak samo nie uznaję obliczeń wydatków na głowę ludności. Trzebaby uwzględniać różnicę kosztów utrzymania, posiadać dokładne oszacowanie majątku narodowego, aby móc odpowiedzieć, czy obciążenia podatkowe nie są wygórowane. Uważam, że do pewnego stopnia sprawdzianem może być tylko łatwość w płaceniu podatków, ale i tutaj nie można opierać się, naprzykład, o wysokość kosztów egzekucyjnych, gdyż na ociąganie się z uiszczeniem podatków wpływa nietylko ich ciężar, ale i czynniki uboczne, więc drożyzna pieniądza, przyczyny psychologiczne, jak wdrożenie do tego obowiązku obywatelskiego, łatwość techniczna dokonania wpłat i t. p. U nas, gdzie o kredyt bardzo trudno, nieraz opłaci się raczej ponosić koszty egzekucji i kary za zwłokę, aby ulokować te fundusze na wyższą stopę procentową. Jeżeli zatem widzimy, że śruba podatkowa nie hamuje rozwoju przemysłu i nie wstrzymuje życia ekonomicznego, możemy bez ryzyka popełnienia błędu uznać wysokość podatków za nienadmierną.



Pos. Wł. Byrka

— A czy nadwyżki budżetowe, osiągane w ostatnich latach, nie są dowodem zbytniego opodatkowania ludności?

— Nadwyżki budżetowe są konieczne ze względu na nasz plan stabilizacyjny, a zresztą niezależnie od tego Państwo musi posiadać kapitał obrotowy. Jeżeliby chodziło o zaspokojenie wszystkich narzucających się nam wydatków na szkoły, drogi, i t. d., budżet obecny nie wystarczyłby. Wprawdzie można by go odciążyć o jakie 300 — 400 miljonów, gdybyśmy mogli finansować inwestycje w drodze kredytowej. Niestety, dzisiaj musimy je pokrywać z wpływów bieżących.

— Więc powszechne narzekania na podatki nie są, zdaniem pana prezesa, uzasadnione?

— Narzekania na przepodatkowanie nietyle wynikają z wysokości sumy, ile z wadliwego systemu podatkowego. Naprzykład podatek obrotowy, wskutek parokrotnego przerzucania, obciąża daleko większą ilość osób, niż z ustawowego rozkładu jego wynika. Są podatki, które się płaci 12 razy do roku. — Czyż to nie jest weksacyjne? Daje się też ludności we znaki system podatków samorządowych, który ilość terminów płatniczych zwiększa niesłychanie. Działają i inne przyczyny. W polityce gospodarczej znać u nas niecierpliwość w odbudowywaniu się, co przy decentralizacji poczynań powoduje nierównomierność obciążenia. Władze administracyjne robią nacisk na konieczność takiego czy innego wydatku, a władza skarbowa, która winna się opiekować płatnikiem, aby nie dopuścić do jego ruiny, nie ma dość sił, by się temu naporowi oprzeć.

— Jakie są cechy charakterystyczne naszego budżetu?

— Nie podejmę się wymienić wszystkich, ale najbardziej uderza mnie fakt, że budżet jest refleksem protekcjonizmu w stosunku do pewnych przemysłów; naprzykład polityka taryfowa na kolejach, stosowana do węgla, prowadzi do tego, że Państwo grubo dopłaca do eksportu. Nadto przerzuca się niedobory z handlu zewnętrznego węglem na konsumenta wewnętrznego. To samo dotyczy cukru. Inną charakterystyczną cechą budżetu jest niskość płac urzędniczych. Wprawdzie w Komisji zwiększono odpowiednie pozycje wskutek wprowadzenia poprawki rządowej o 15% dodatku dla urzędników i dodatku mieszkaniowego, wciąż jednak uposażenie pracowników państwowych jest niedostateczne. Zagadnienie to stanowi część ogólnego zagadnienia płac zarobko-

WSKRZESZENIE PAŃSTWA KOŚCIELNEGO



J. S. Pius XI, którego rozważna i przewidująca polityka doprowadziła do porozumienia z rządem włoskim. Po 58-letniej niewoli Papiestwo staje się znów państwem. Pakt w imieniu papieża podpisał Kardynał Gasparri, a w imieniu Włoch prez. min. Mussolini. Zdarzenie to wśród katolików całego świata wywołało szczerą radość.

wych, które w Polsce znajdują się poniżej minimum naszej bardzo niskiej stopy życiowej, a nawet nie podążają za wzrostem drożyzny. Ale rozwiązanie tego problematu leży poza tematem naszej rozmowy.

— Czy budżet jest realny?

— Dochody preliminowane są bardzo oględnie, tak, że zwichnięcia równowagi nie można się obawiać. Przytem pragnę zauważyć, że nie zostały w nim zdyskontowane ani zamierzona reforma podatkowa, ani projektowana zmiana towarowej taryfy kolejowej. Z drugiej jednak strony, gdyby powyższe zamierzenia dały dodatkowe fundusze, to Polska ma przed sobą tyle jeszcze pilnych zadań państwowych, że wymienię odbudowę kraju, budowę szkół i dróg, uregulowanie niezałatwionego problemu płac urzędniczych, że nadmiaru środków nie będzie miała. Ale to wszystko może stanowić treść dodatkowego budżetu, gdyż w obecnym już nie znajduje uwzględnienia.

— Czy pan prezes zadowolony jest ze struktury naszego budżetu?

— Brak właściwego prawa budżetowego nie pozwolił na należyte uregulowanie tej kwestji, tak ważnej ze względu na prerogatywy parlamentu. Budowa naszego budżetu pod wieloma względami jest wadliwa. Niektóre pozycje figurują pod niewłaściwą nomenklaturą. Naprzykład fundusz dyspozycyjny, dochodzący do 25 miljonów, mógłby być znacznie zmniejszony, gdyby wydzielić z niego wydatki, które bez żadnej szkody dla interesów państwa, a nawet bez krępowania rządu mogą być ujawnione, ponieważ nie mają wcale charakteru dyspozycyjnego. Inne znów pozycje noszą ogólnikową i nic nie mówiącą nazwę. Zdarzają się wielomiljonowe pozycje, wymagające rozbicia i bliższego określenia. Na wszystkie te sprawy zwróciłem uwagę w swoim referacie i uzyskałem obietnicę Ministerstwa Skarbu, że przyszły budżet będzie miał układ bardziej dokładny i precyzyjny.

wg.

NOWY RZĄD W CZECHOSŁOWACJI



Franciszek Udrzal, b. minister wojny, objął ster rządu w Czechosłowacji po ustąpieniu chorego Svehli

Przywiązanie od śmierci silniejsze!

Otrzymaliśmy dzisiaj, trzy lata po śmierci Władysława Mickiewicza, pierwszy tom drugiego wydania *Żywota Adama Mickiewicza.* Całe długie życie zeszło kustoszowi Muzeum imienia Adama na zbieraniu materjałów do „Żywota" Ojca, a gdy czterotomowe to dzieło wyszło z druku w r. 1889, pracował niezmordowanie p. Władysław nad uzupełnieniami do następnego wydania. Wierzył bowiem święcie, że *drugiego* wydania doczeka i że miłość synowska wyleje się raz jeszcze w pomniku, który pamięci polskiej pomoże, aby niewolę przetrwała i wolnej Polsce przekazała przywiązanie bez granic do największego, jak mniemał, Polaka. Pamiętam jego listy, pełne nadziei, że Poznań wyda następną edycję czterotomowego dzieła oddawna wyczerpanego. Jestto najbogatsza biografja Adama, podstawa wszystkich biografji *umiejętnych.* Pisała Żywot ten dusza bezgranicznym wypełniona pietyzmem i słusznie nazwała go „Żywotem..." Sprowadza on na duszę każdego inteligentnego czytelnika głęboką zadumę i duszę tę podnosi do wysokiego poziomu uduchowienia i wzniosłej tkliwości. Niechaj znajdzie się w licznych rękach i niechaj prawdy tego „Żywota" spłyną do największej ilości serc polskich.

Stanisław Posner

PODPISANIE PROTOKUŁU LITWINOWA W MOSKWIE



Karol Davilla, minister pełnomocny Rumunji w Warszawie, wydelegowany przez swój rząd do Moskwy, podpisał protokuł Litwinowa, wraz z min. Stan. Patkiem. Fakt ten Rumunja powitała z zadowoleniem. Świadczy on, iż Z. S. S. R. zrzekła się sporów granicznych w Europie na drodze orężnej



Stanisław Patek, minister pełnomocny w Moskwie, któremu udało się propozycję Litwinowa co do pokoju rozszerzyć na państwa bałtyckie i Rumunję, podpisał w dn. 9 bm. protokuł wraz z reprezentantami Łotwy, Estonji i Rumunji

Najpoczytniejsza powieść niemiecka... Sprawa Mauriziusa

— Jakie są pańskie dochody? — Kłopotliwe to pytanie postawił J. Wassermanowi przyszły teść...

— Pewne, zagwarantowane? — dodał poeta.

— O to właśnie pytam... — sucho podkreślił stary, poważny pan.

— Pewnych nie mam nawet dziesięciu halerzy.

Wbrew przewidywaniom i utartej regule rzeczy odpowiedź ta rozrzewniła przyszłego teścia. Skruszony wyszeptał:

— Pańska uczciwość podoba mi się. Jesteś wymarzonym zięciem dla mnie...

J. Wasserman miał jednak wątpliwość co do tego. Pochodził z niezamożnej, skrachowanej rodziny. Był prawie samoukiem. Próbował różnych zawodów, które go stale zawodziły. Jutrznie jego sławy, jako pisarza, ledwie poczęły świtać. Mimo młodego wieku (ur. 1873 r.) zdążył już jednak uciułać poważny kapitał... doświadczeń, obserwacji, niepowodzeń życiowych. Poznał różne środowiska Niemiec przedwojennych, wsłuchiwał się w rytm ich pracy. Zadebiutował powieścią pt. „Żydzi z Zirndorf". Zyskał uznanie wśród ludzi pióra. Los zdarzył, iż miał możnego protektora. Był nim znakomity literat Ernest von Wolzogen.

Działalność pisarska twórcy „Renaty Fuchs" od tej chwili z roku na rok potężnieje, zatacza coraz szersze kręgi, wdrąża się coraz głębiej w życie społeczne, obyczajowe, rodzinne Niemiec. Obecnie ukazała się jego powieść pt. „Sprawa Mauriziusa". W Niemczech jest ona szeroko komentowana, jak zresztą były omawiane jego liczne powieści.

Najpoważniejsze dzienniki niemieckie, jako „Vossische Zeitung", „Berliner Tageblatt", „Hamburger Fremdenblatt", „Neue Zürcher Zeitung", rozpowszechniają opinję, iż jest to „mistrzowskie dzieło o wizjonerskiej sile, równej, a może przewyższającej Dostojewskiego". Krytyka niemiecka zgodnie twierdzi, iż Jakób Wassermann znajduje się obecnie u szczytu swego artystycznego rozwoju. Pisarza tego uważają za wyraziciela niemieckich tendencji do sprawiedliwości. Ma on być żarliwym obrońcą etycznych podstaw życia. Psychika jego obejmuje niezwykle szeroki, jak i głęboki splot zjawisk obyczajowych.

Polski czytelnik miał możność zapoznania się z twórczością J. Wassermanna, gdyż znaleźli się liczni tłomacze: w polskiej szacie ukazały się najwybitniejsze jego utwory. — „Sprawę Mauriziusa" przyswoił p. Marceli Tarnowski. Na liście tłomaczów tego beletrysty figurują pisarze, jak Leopold Staff, L. Belmont, Fr. Mirandolla. Twórca „Gałązki Oliwnej" przełożył „Niewolników Życia", L. Belmont „Usta nigdy nie całowane", „Dziecię Europy", Fr. Mirandolla trylogję pt. „Człowiek złudzeń". Tłomacz „Sprawy Mauriziusa" dał „Maski Erwina Reinera", wogóle jest on propagatorem twórczości J. Wassermanna w Polsce.

„Sprawa Mauriziusa" obraca się w zawiłym świecie mądrości prawniczej. Jakób Wasserman wielokrotnie malował stosunki, panujące wśród ludzi dzierżących kaduceusz prawa. Jest to tylko kaduceusz, choć wyobrażają sobie oni, że trzymają w ręku berło. Złudzenie to powoduje wiele życiowych tragedji.

W powieści pt. „Niewolnicy Życia" Jakób Wassermann pokazał dramat adwokata dr. Laudina. Człowiek ten przez lat dwadzieścia nieposzlakowanie pracował dla wymiaru sprawiedliwości. Wystarczyło jednak, że zbieg wydarzeń wplątał go w uczuciową aferę z aktorką Dercum, załamał się wewnętrznie. Zdawałoby się, że człowiek tak wewnętrznie zorganizowany, wyraźny, jako charakter, znajdzie w sobie dosyć siły, by przejrzeć prawdę. Ma wielkie doświadczenie w tym względzie. W jego to adwokackim gabinecie ludzie odsłaniają swoje kłamstwa, intrygi, podłostki. Umie on odgadnąć istotę sporów małżeńskich, zatargów kryminalnych, nieporozumień materjalnych. Wiedza ta nie daje mu atutu w rękę, gdy chodzi o sprawy jego własnego życia.

Jakób Wassermann w twórczości swojej kilkakrotnie, w różnych oświetleniach i warjantach pokazywał tego rodzaju typ człowieka. Pozytywność jego myśli, działań i życiowych interesów jest konkretna, realna, namacalna. Ludzie to twardzi; wybitne inteligencje służą do osiągania przewag w życiu.

Na przeciwległym biegunie stawia on galerję postaci o niemniejszym zasobie sił umysłowych, lecz o anarchizującej psychice. Są to nieproduktywni mędrcowie, ludzie zmijający się niekiedy z paragrafami prawa, ale jako indywidualności, jednostki wybitne, często groźne dla celowości myśli społecznej. Malując tego rodzaju ludzi, J. Wassermann nie mógł pominąć problemu wychowania. Sprawa kształtowania dusz ludzkich już w „Kacprze Hauserze" żywo zaprzątała jego myśli. „Niewolnicy życia" zagadnienie to pokazują na wielu płaszczyznach życia, a w „Sprawie Mauriziusa" jest ona osią powieści. Dzieje Etzela von Andergasta splatają się w sposób tajemniczy z nieszczęsnym docentem Mauriziusem, domniemanym zabójcą własnej żony, skazanym na ciężkie więzienie przez świetne prokuratorskie opracowanie oskarżenia przez ojca Etzela. Prokurator Andergast, człowiek z jednej bryły, silny duchowo i fizycznie, bardzo reprezentatywny, też doznał w życiu nieszczęścia. Musiał rozejść się z żoną. Odseparował ją zupełnie od syna Etzela, zabronił, by dziecko wiedziało cośkolwiek o matce. Wychowanie to dało rezultat ujemny. Etzel uciekł od ojca... wstrząśnięty tajemniczą sprawą domniemanego zabójcy Mauriziusa a poszukujący matki. Syn waży sobie postępowanie ojca, sprawia mu przyjemność, gdy profesor wyjaśnia postawę prokuratora:

„Niemcy stały wówczas, że tak powiem, wobec moralnego albo - albo; była to jedna z owych dróg historycznych, gdy trzeba było wybierać pomiędzy krokiem wzwyż a krokiem wdół. Po jednej stronie rozwiązłość, żądza użycia, lekkomyślność, nieodpowiedzialność, po drugiej sumienie, kara i obowiązek"...

Głos ten nie przekonał syna prokuratora Andergasta. Miał nadzieję wydostać prawdę od... nauczyciela języków obcych Warremmego, człowieka już zdeklasowanego, wyróżniającego się jednak potężną wolą, znakomitą inteligencją, ożywionego głębokiemi, tragicznemi namiętnościami.

Wassermann w powieści tej staje się uczciwym poszukiwaczem busoli sprawiedliwości w życiu społecznem i rodzinnem. Wydostaje na jaw wiele mętnego, brudnego osadu społecznego.

Lektura powieści Wassermanna nie jest łatwą. Warto się jednak potrudzić, gdyż wizje jego są pełne głębszych ujęć, refleksji, sądów.

Dr. Z. M.

Z WARSZAWSKIEGO TOW. ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH



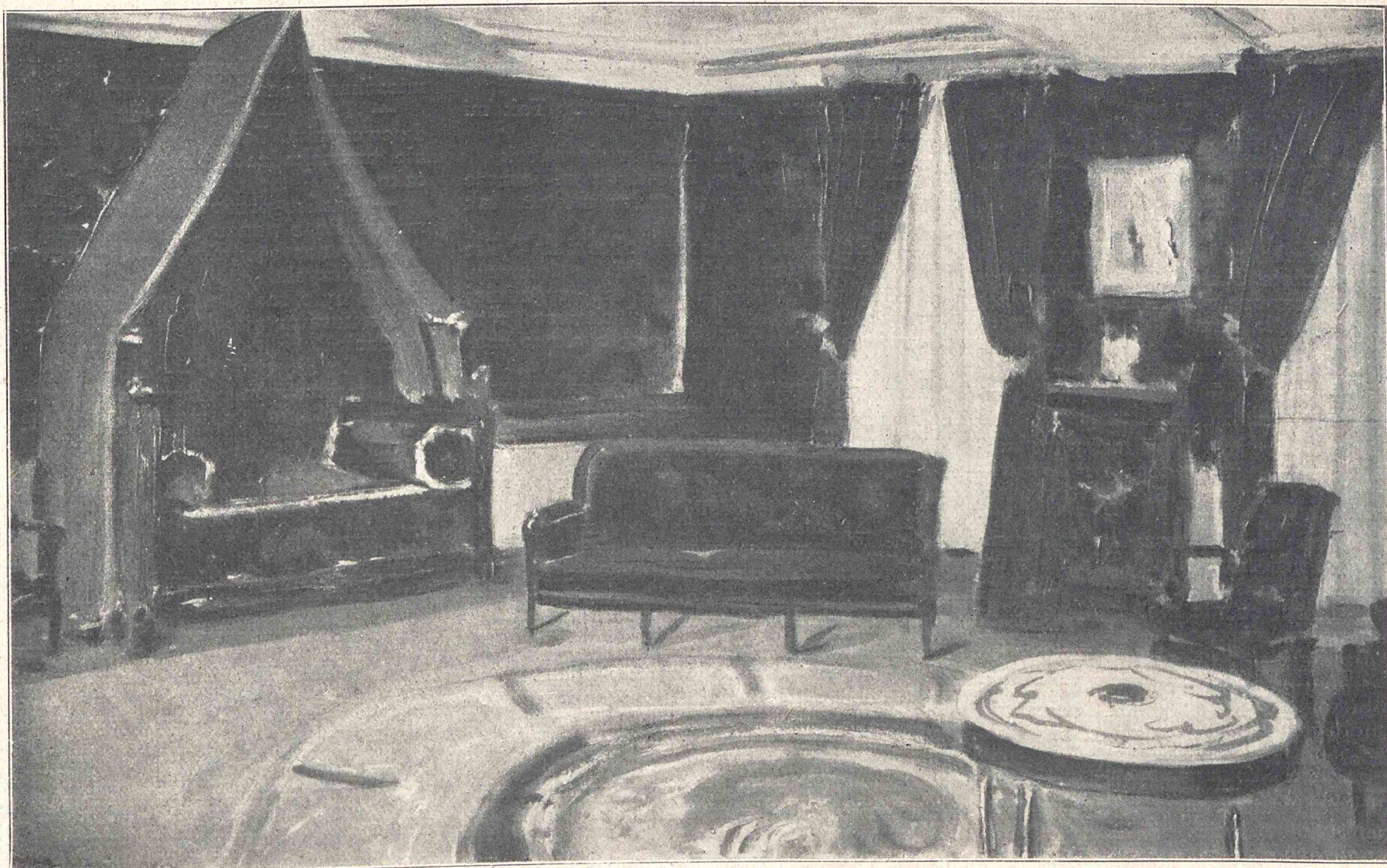
Leon Kamir — *St. Malo*



Leon Kamir
Lato



Leon Kamir
Jesień



Leon Kamir — *Malmaison. Sypialnia Napoleona*

Leon Kamir — *Studjum*

EUSTACHY CZEKALSKI

Telefon zajęty...

(Przerwana baśń).

Dwa duże chabry — to jej oczy słodkie, uśmiechnięte. Maleńkie piąsteczki różowe, tłuste, zawsze ubrudzone byłyby złą rekomendacją dla Krzysi, gdyby nie minka potulna, przymilna, zniewalająca. Melancholijnie siedzi urocza dziewczynka pod wystrojoną choinką i cierpliwie zamalowuje różnemi kolorami wzorek.

Nikt nie interesuje się śliczną jedynaczką dziś, w uroczysty wieczór sylwestrowy. Do tatusia przyszli w goście koledzy. Matuchna, pulchna, piękna kobietka, zajęta jest paniami. Z początku całowano Krzysię, podziwiano, ale po godzinie starsi o niej zapomnieli. Poszła pod choinkę malować wzory, bo nic nie mogła zrozumieć z rozmów, ze śmiechów, z dowcipów.

W sąsiednim pokoju zastukał, zaszeleścił rozstawiany stół do gry w karty. Jak raca, wybuchł czyjś śmiech nerwowy, głośny. Przyszedł do telefonu tatusiek. Krzysia słyszała, jak mówił:

— Proszę mi zameldować na wszelki wypadek, co się dzieje na mieście. Z domu nie wychodzę.

Tatusiek był prokuratorem w prowincjonalnem, wojewódzkiem mieście. Władze bezpieczeństwa publicznego zawiadamiały go w wypadkach gwałtownych o zajściach smutnych, tragicznych, o wydarzeniach codziennych ludzkiej głupoty, nieprzezorności, złej woli. Taki jest urząd prokuratorski. Musi się zajmować tylko ciemnemi sprawami życia ludzkiego. Tatusiek nie smucił się jednak z tego powodu. Traktował zajęcie swoje... zawodowo i miał wcale niezły humor. Dopisywała mu też tusza: im więcej rósł brzuch prokuratorski, on stawał się coraz większym optymistą.

Tatusiek pocałował kilka razy Krzysię w czarną główkę, obejrzał jej malowidła, zapytał, czy nie zechce zjeść jabłuszka i poszedł do swoich gości. Dziewczynka pozostała pod choinką: echa śmiechów, głosów, rozmów, nieprzyjemnie drażniły jej małe, czujące serce. Zapomniano o niej zupełnie. Nawet matuchna nie zajrzała, co robi jej skarb nad skarby!

Chabrowe oczęta błądziły przez chwilę po choince. Obejrzały jeszcze raz dokładnie wszystkie świecidełka, pierniki, girlandy. Wtem zaświtała w małej, czarnowłosej główinie zbawienna myśl: zatelefonuje do babci.

Wzięła słuchawkę i zaszczebiotała, jak ptaszyna.

— Dobry wieczór, babciulku...

Drut telefoniczny niósł w odpowiedzi:

— A, dobry wieczór, Czarna Jagódko...

— U tatusia i mamusi są goście. Siedzę sama, samiuteńka. Oni ciągle się śmieją. Nic nie rozumiem ich rozmów. Bardzo proszę, daj do słuchawki Misia, niech mi zaszczeka...

Zmyślny pies, istotnie, zajazgotał w słuchawkę, gdy usłyszał głos małej swojej przyjaciółki.

— Czegóż chcesz więcej?... — dopytywała się babunia.

— Żeby mi gramofon zagrał jaką kolędę.

— Dobrze, poczekaj... zaraz nałożę płytę.

W telefonie zaśpiewały głosy pełnym, melodyjnym chórem: „Wśród nocnej ciszy". Później przyszły kolędy weselsze i zupełnie zabawne. Krzysia na chwilkę przeprosiła babcię:

— Poczekaj, zamknę drzwi. Tak mi przeszkadzają.

Gdy wróciła, przymówiła się babci:

— Albo wiesz co, opowiedz mi jeszcze jakąś bajeczkę. Ty potrafisz mówić tak ładnie...

— Bajeczkę? Dobrze, skarbie. Tylko babcia przysunie sobie fotel do telefonu.

Krzysia rozsiadła się też wygodniej przy biurku tatusia. W słuchawce rozbrzmiało pieszczotliwie, ciepło słowo czarodziejskie:

— Czy chcesz usłyszeć bajeczkę o małym żarłoku, królewiczu Pchełce?

— Dobrze, proszę o Pchełce!

— Może wolisz historyjkę o Kogutku Żółtodziobku! A może o niegrzecznym chłopcu, Wacku Kropce?

— Babciulku, proszę o wszystkie te bajki...

Zachrząknęło coś w telefonie. Odkaszlnęła sobie babcia. Poprawiła się w fotelu. Krzysia mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha. Babcia rozpoczęła:

— Kiedyś dawno, bardzo dawno żył sobie mały królewicz, którego przezwano Pchełką.

— Dlaczego Pchełką?... — dopytywała się dziewczynka.

— Bo był mały, okrągły, czarny i nieustannie skakał. Królewicz ten bardzo lubił konfitury...

— To tak, jak ja... — ucieszyła się Krzysia.

— Mama królewicza przestrzegała, by jadł jednak w miarę. Cóż, kiedy służba podsuwała mu w tajemnicy spodeczki z poziomkami, malinami, truskawkami?

— Mnie też daje Marysia po cichu konfitury!

— Królewicz Pchełka opychał się więc smakołykami ponad miarę.

— Babciulku, babciulku, już wiem, co będzie dalej... Pchełka zachorowała na brzuszek — wesoło zawołała dziewczynka.

— Babcia uśmiechnęła się dobrotliwie:

— Właśnie, że jeszcze nie zachorował.

W słuchawce telefonicznej coś zgrzytnęło, zachrobotało. To komendant policji dobijał się o połączenie przez centralę. Telefonistka zmęczonym głosem odpowiedziała:

— Aparat zajęty...

— Jakto zajęty? Już od godziny nie mogę się połączyć.

— Proszę, niech pan się zwróci do mojej przełożonej.

Telefonistka nie omieszkała jednak włączyć się do aparatu prokuratora. Miękki, ciepły, kobiecy głos niósł jej słowa baśni, opowiadanej przez babcię:

— Królewicz nie zachorował. Porastał tylko w tłuszcz niepomiernie. Stawał się coraz więcej okrągły, aż wreszcie przybrał kształt wielkiej piłki.

— Czy takiej, jaką grają chłopcy?

Komendant policji irytował się, żądając, by naczelniczka zarządziła natychmiast połączenie z telefonem prokuratora.

— Mam sprawę urzędową, niecierpiącą zwłoki.

Przezorna naczelniczka wzięła numer jego aparatu i skomunikowała się z urzędniczką w celu wyjaśnienia:

— Telefon jest zajęty!—służbiście zameldowała. — Ktoś opowiada bajkę o królewiczu Pchełce...

— Proszę rozłączyć i połączyć z numerem komendanta policji... — ostro zarządziła naczelniczka.

Krzysia ku swemu zdziwieniu usłyszała obcy, obleśny, układny, policyjny głos.

— Tu mówi komendant policji! Czy mieszkanie pana prokuratora?

— Tak — odpowiedziała grzeczna dziewczynka. Tatuś jest zajęty. Proszę mi nie przeszkadzać. Babcia opowiada bajeczkę.

— Bardzo przepraszam, ale muszę rozmówić się z panem prokuratorem.

— U nas są goście — tłomaczyła jeszcze Krzysia.

Nie było rady, musiała zawezwać ojca.

Prokurator zjawił się natychmiast przy aparacie.

— Co się stało? — dziwił się wesoły w sylwestrowym humorze mężczyzna.

— Melduję, że wykryto podkop pod bank.

— Nic nadzwyczajnego. Rzecz w obecnych czasach zwykła. Ma pan sprawców w ręku? Tak? Brawo. To wszystko w porządku. Dosiego roku, panie komendancie...

Prokurator już chciał zamknąć aparat. Spieszył się do gości. Policjant miał jednak jeszcze kilka meldunków:

— W restauracji pod „Różowym Kręglem" zastrzelił się niejaki pan Migurek...

— No, to niech sobie teraz poleży!

— Kiedy to jest ten defraudant z Katowic, któregośmy poszukiwali. Był w towarzystwie przystojnej kobiety...

— Zatrzymana do wyjaśnienia... W porządku... Wszystko w porządku. Rano rozpatrzy sprawę sędzia śledczy... Dowidzenia...

— Jeszcze jedna nowość i to najgorsza, — z troską zaznaczył komendant.

— Ach, panie... Na Sylwestra rozbiła się szkuta, czy co?

— Właśnie! A z tym faktem nie wiem, co mam zrobić?

Prokurator już się niecierpliwił. Komendant policji rzeczowo wywodził:

— Zna pan prokurator zapewne z widzenia porucznika Trzpiotka...

— Cóż tam zmalował?!

— Upił się w „Continentalu" i z browningiem w ręku chodzi od stolika do stolika, by gładzić po głowie starszych panów.

— Zbrodni w tem niema. Upił się!...

— Będzie z tego skandal.

— Daj pan znać do komendy miasta.

Nareszcie mógł się uwolnić prokurator od raportu. Natychmiast powrócił do gości. Śmiech przelewał się falą z sąsiedniego pokoju.

Śliczna, chabrowooka dziewczynka chwilkę pomedytowała. Przymknęła drzwi i połączyła się znów z babcią.

— Przeszkodzili nam. Proszę, skończ mi bajeczkę o żarłocznym królewiczu Pchełce.

— Odłóżmy to na jutro. Telefon może być znów potrzebny tatusiowi.

— Nie, babciulku. Proszę, skończ zaraz.

— Są jednak rzeczy ważniejsze od bajek...

— Nie dowiem się przez tego policjanta, co się stało z królewiczem Pchełką. — płaczliwie wychlipała złamanym głosikiem Krzysia.

— Ach, ten telefon! Zawsze mi przerwie bajkę w najciekawszem miejscu.





Sztuka K. Capka. Główne role kobiece: **„R. U. R."** *Pp. Wierzejska i Żbikowska*
Fot. St. Markiewicz-Poznań.



„Krzyżacy". *Opera Dołżyckiego, wykonawczynie partji kobiecych: pp. Kisielewska (Danusia), Dr. Roesslerówna (Ryugałła)*

Drobiazgi teatralne

SZCZĘŚLIWY DEBIUTANT.

Siedemnastoletni młodzieniec, syn niezamożnych mieszczan londyńskich, M. R. Sheriff, poszedł na wojnę. Siedział blisko cztery lata w okopach, wytrzymał. Gdy nastąpił rozejm, wrócił do Londynu, zrobił się agentem od ogłoszeń. Lecz przeżycia wojenne takie zostawiły na nim wrażenie, że postanowił odtworzyć je w sztuce teatralnej.

Łatwiej jednak napisać sztukę, niż ją wystawić... w Londynie. Młody M. R. Sheriff chodził od dyrektora do dyrektora, proponował sztukę. Pytano go:

— Jaki temat?

Odpowiadał:

— Historja wojenna!

Dyrektorzy krzywili się lekceważąco.

— Idź pan spać. Wszyscy mają dosyć wojny.

Sheriff próbował wówczas przekonywać opornego dyrektora. Najczęściej wypraszano go bez uprzejmości za drzwi.

Ale młodzieniec był uparty. Nie przestawał zabiegać. Nie zrażał się odmową. Aż wreszcie trafił do Bernarda Shaw, który rzucił na rękopis nieco roztargnionem okiem i wyraził o sztuce opinję:

— Nie widzę żadnej racji, aby ta sztuka nie miała być graną...

Wreszcie Sheriff trafił do Stage-Company. Jest to prywatne towarzystwo, które wystawia sztuki młodych, początkujących autorów. Zwykle sztuka grana jest przez amatorów raz jeden. I tutaj opinja komitetu rozdzieliła się. Trzech członków głosowało za przyjęciem sztuki, trzech — za odrzuceniem. Lecz przewodniczący ujął się za autorem, jego głos przeważył. I oto w którąś niedzielę sztuka „Journey's End" (koniec podróży) p. M. R. Sheriffa znalazła się na afiszu.

I, o dziwo! Niebywały sukces! Trzy akty sztuki rozgrywają się w okopach pod St. Quentin. Niema roli kobiecej. Żadnego romansu. Poprostu — trzy dni życia w transzejach, poprzedzające wielki atak, odtworzone z przejmującym realizmem.

Widz czuje, że autor przeżył te ciężkie chwile. Ból i nędza, szlachetność porywów i bohaterstwo, niezwyciężony dobry humor, oto główne czynniki, które czynią ten dramat tak wzruszającym. „Journey's End" nie schodzi z afisza, M. R. Sheriff stał się z dnia na dzień sławny, a dyrektorzy teatrów wyrywają sobie włosy z głowy, że wypuścili z rąk takiego „przeboja".

SYN WIELKIEGO PISARZA W NĘDZY.

Dzienniki paryskie piszą o ostatecznej nędzy, w jakiej dokonywa późnego żywota syn wielkiego dramaturga rosyjskiego, Ostrowskiego. Nie pogodził się on z Republiką Sowietów, połączył się z Denikinem, musiał emigrować. Dzieła ojca zostały uznane jako własność narodowa. Starzec wyrzucony został na bruk paryski bez żadnych środków i w nędznej, zimnej mansardzie, pozbawiony wszelkiej opieki, walczy ze śmiercią głodową.

KONIEC ŻAŁOSNY.

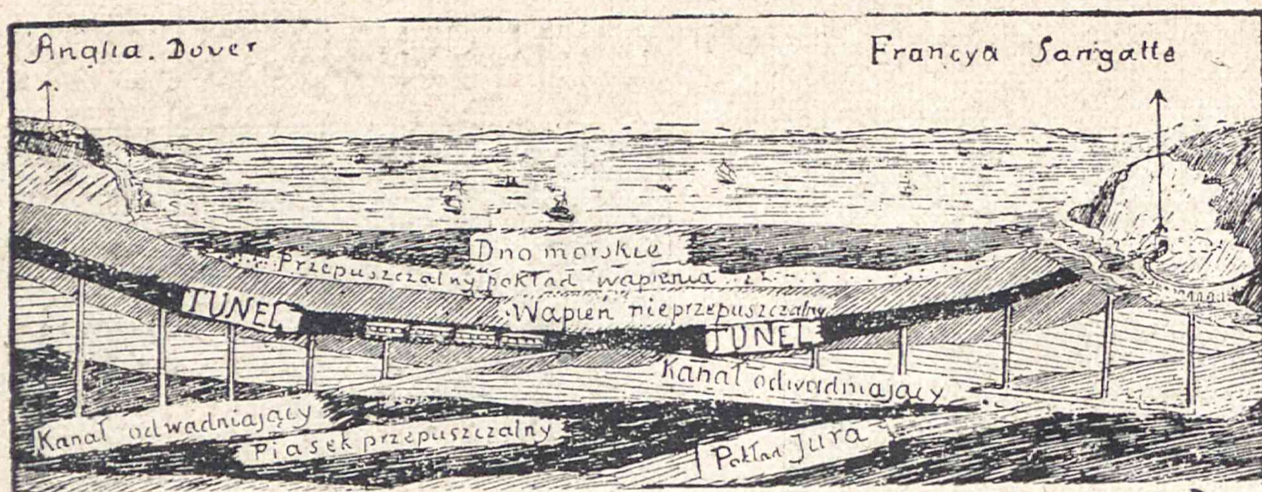
Któż przed czterdziestu laty nie słyszał o *„La Goulue"*? To była sława światowa. Główna tancerka z tego słynnego kwartetu, który w ówczesnym (jakże skromnym!) Moulin Rouge co wieczór pokazywał „taniec rodem z piekła". Tak jest, bo wtedy jeszcze w Paryżu tańczono kankana, a zdumionym przybyszom ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej wydawał się objawem zuchwałego, niebywałego zepsucia, że cztery tancerki podnosiły nogi, obciśnięte w jedwabne pończochy, wysoko w górę. Te zgrabne, suche nogi wyłaniały się z pośród białych obłoków koronek; każda z naszych dzisiejszych pań na pobożnym raucie „pokazuje" w zwykłej wieczorowej toalecie znacznie więcej.

Obok *„La Goulue"* tańczyła „Grille d'egouts", *„Patte en l'aie..."*. Lecz *La Goulue* miała największe powodzenie. Jej *„grand écart"* (dzisiejszy „sznureczek", o Halamo!) budził najsilniejszy dreszcz. I gdy milkły ostatnie tony szatańskiego kadryla, wyfraczeni panowie tłoczyli się do jej garderoby. Szła na kolację do Café de Paris, do Voisin'a, Paillard'a. Wszędzie witały ją uśmiechy i szepty:

— *La Goulue!*

Raz jeden z książąt panujących całą podłogę salonu, w którym odbywała się kolacja, kazał zasypać fijołkami parmeńskiemi. Miała wspaniały apartament, pojazdy, biżuterję...

A potem... lata biegły... „kadryl paryski" przestał być modnym, *La Goulue* przeniosła się z towarzyszkami na *Boulevard St. Michel*. Wykwintni panowie znikli... Trzeba było zrzegnować z pięknych apartamentów, pojazdów, biżuterji. La Goulue przerzuciła się wtedy. Z tancerki stała się pogromczynią zwierząt. Widywano ją w Neuilly, w innych przedmiejskich miejscowościach w klatce z rachitycznym lwem i wychudzoną hyeną. Opiekowała się niemi czule, odejmując sobie nieraz od ust, byle „Bebé" (tak się nazywało owo lwiątko) miało dość mleka. Lecz coraz bardziej starzejąca się kobieta i tutaj już nie miała powodzenia. Co robiła później? Jakie były jej losy? Teraz odnaleziono ją umierającą w szpitalu, na ogólnej sali, w ostatniej nędzy. Jakiś reporter przypomniał sobie jej nazwisko, poszedł zrobić z nią interview... o przeszłości. W parę dni potem *La Goulue* umarła.



Projektowana trasa tunelu i uwarstwienie dna morskiego

TUNEL POD LA MANCHE

Z pośród wszystkich państw europejskich Anglja posiadała do niedawna najdoskonalszą, bo naturalną obronę przed każdym wrogiem, któryby chciał najechać jej ziemie. Obroną tą było spienione morze, kanał La Manche, oddzielający ją całkowicie od reszty kontynentu. Wprawdzie odległość między dwoma najbliższymi sobie portami Anglji i Francji: Dowerem i Calais, nie jest zbyt wielka, ale morze w tem najwęższem miejscu bywa zazwyczaj bardzo wzburzone.

Odosobnienie, ta *splendid isolation*, którem zawsze chełpiła się Anglia, tak korzystne ze względów wojskowych, nastręczało jednak pod względem komunikacyjnym i gospodarczym liczne trudności i niedogodności. Podróżni, jadący z kontynentu do Anglji, narażali się bardzo często na nieprzyjemności morskiej choroby. Komunikacja handlowa była utrudniona i kosztowna, bowiem towary, dowiezione kolejami do portów, trzeba było przeładowywać na statki, a potem, po przebyciu kanału, znowu powtórnie ładować do wagonów kolejowych.

Anglik znosił z dumą te przykrości; interes państwowy, bezpieczeństwo kraju, górowały nad prywatą. To też, chociaż technika już dawno stanęła na tym poziomie, że bez przeszkody mogłaby połączyć podmorskim tunelem oba wybrzeża kanału, chociaż niejednokrotnie już podejmowano projekty budowy tunelu, a nawet przystępowano do pracy — zawsze ostatecznie ze strony parlamentu, rządu angielskiego i większości opinji publicznej odzywały się protesty, uniemożliwiające realizację dzieła. Pragnienie utrzymania naturalnej morskiej fortyfikacji kraju było dotąd najgłówniejszą przeszkodą zbudowania innej jakiejś drogi, nie morskiej, z Francji do Anglji; obywatele Wielkiej Brytanji nie chcieli otworzyć dostępu dla najeźdzcy do swego kraju. „Pani mórz" wolała bronić się na morzu, co wobec potęgi jej floty nie było trudne.

Pierwszy projekt dotarcia do Anglji inną drogą, niż przy pomocy statków, powstał za czasów Napoleona. Przemyśliwano wówczas, aby balonami przewieść wielką armję francuską na wybrzeże Anglji. Niebawem planu tego zaniechano, a natomiast poczęto się zastanawiać nad budową ogromnego mostu z jednego wybrzeża na drugie. Ale Napoleon zaniechał zamiaru uderzenia na Anglję, sam zaś pomysł mostu uznano za niewykonalny.

W roku 1838 zjawia się poraz pierwszy myśl połączenia obu krajów podmorskim tunelem. Inżynier francuski Thome de Gamond wypracował szczegółowe plany tunelu. We Francji uznano je za mrzonkę, w Anglji zajęto się bardzo poważnie projektem, a książę Albert, mąż królowej Wiktorji, popierał bardzo gorąco jego urzeczywistnienie. Naród angielski jednak, z obawy przed najazdem, oświadczył się przeciwko budowie, w której możliwość nikt już zresztą nie wątpił wobec przebicia olbrzymiego tunelu przez górę Mont Cenis.

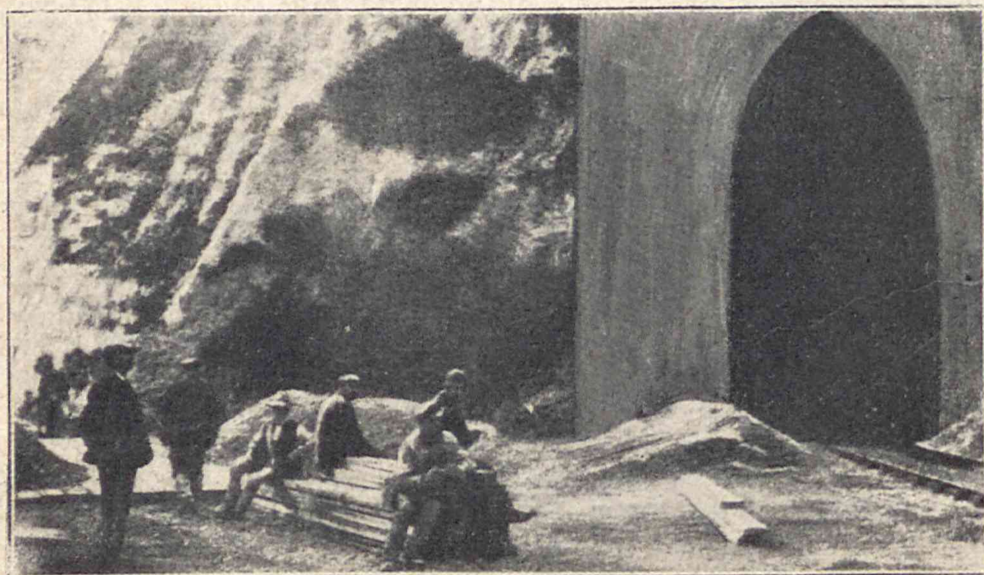
Mniejwięcej w czterdzieści lat później projekt wyłonił się ponownie. Tym razem nastrój ogólny sprzyjał początkowo zamiarom. Utworzono wielkie towarzystwo, które zebrało na budowę sumę około 10 miljonów franków i rozpoczęto pracę równocześnie na obu wybrzeżach. W Anglji punktem wyjścia była t. zw. Skała Szekspira koło Doweru, we Francji miejscowość Sangatte. Doprowadzono już tunel na głębokość 50 metrów poniżej dna morskiego; wydawało się, że wielka ideja zostanie urzeczywistniona. Lecz w narodzie angielskim nanowo zrodziły się obawy, odezwał się jednogłośny niemal protest społeczeństwa i parlamentu. W następstwie wydano bil, polecający natychmiastowe przerwanie robót i zamurowanie wejścia do tunelu na brzegu angielskim. We Francji wejście do tunelu pozostało otwarte po dzień dzisiejszy, co więcej pozostały wszystkie budynki, a nawet część maszyn w Sangatte, tak że dalszą pracę możnaby rozpocząć w każdej chwili.

I jeszcze raz projekt wypłynął na widownię. Było to tuż przed wielką wojną europejską. Dzięki ścisłemu zaprzyjaźnieniu obu państw, rządy Anglji i Francji zgodziły się niemal zasadniczo na podjęcie wielkiego dzieła, a szereg inżynierów, geologów i innych fachowców zajął się teoretycznem skontrolowaniem istniejących planów i dostosowaniem ich do najwspółcześniejszych zdobyczy technicznych.

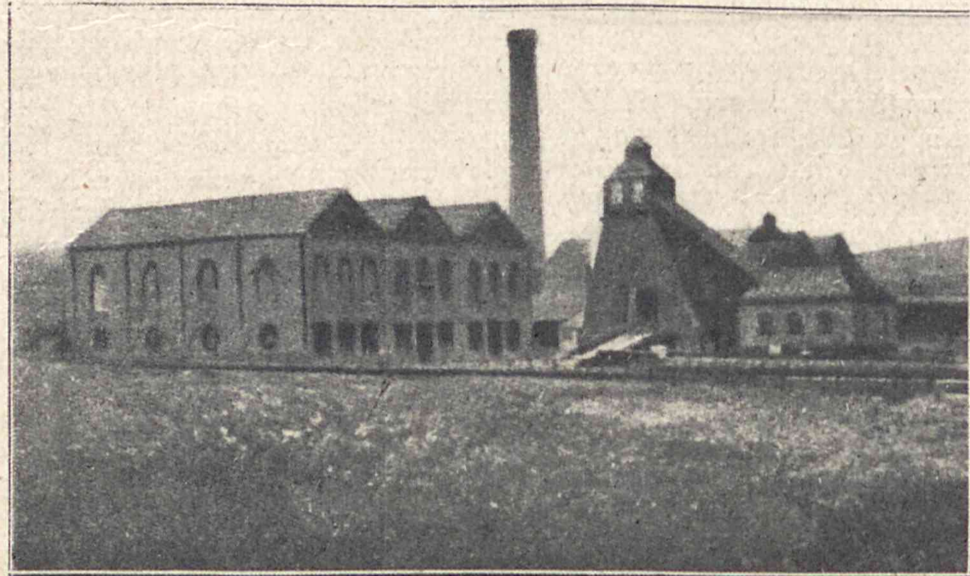
Wielka wojna przekreśliła wszystko. Ale wojna ta również nauczyła wiele Anglję. Już poprzednio wytaczano argument, że odcięcie Anglji od kontynentu przestało istnieć z chwilą udoskonalenia żeglugi powietrznej. Okazało się, że i balony i aeroplany mogą bez trudu przelatywać z Francji do Anglji, że więc naturalna obrona ziemi angielskiej przestaje istnieć. Zeppeliny niemieckie, bombardujące wybrzeża Anglji, potwierdziły dowodnie słuszność tego argumentu. A z drugiej strony brak tunelu, brak szybkiego dogodnego wzajemnego połączenia naraził oba sprzymierzone państwa na ogromne trudności. Jeden z najwybitniejszych angielskich inżynierów komunikacyjnych twierdzi stanowczo, że wojna europejska trwałaby znacznie krócej, gdyby w roku 1914 istniało połączenie tunelowe między Anglją i Francją, co umożliwiłoby nieporównanie szybszy transport wojsk i materjałów wojennych.

Dlatego też Labour Party już w r. 1924 podjęła znowu propagandę projektu budowy kanału. Komitet do spraw obrony narodowej odbył w tej sprawie szereg narad, w ciągu których jednakże przedstawiciele ministerstw wojny, admiralicji i lotnictwa zajęli stanowisko opozycyjne. Ale wznowionym projektem zainteresowały się także żywo koła gospodarcze, które w realizacji kanału upatrywały duże korzyści ekonomiczne dla Anglji. Głównie pod tym naporem sprawa wysunęła się znowu na czoło zagadnień polityczno-gospodarczych, jako jedno z haseł zbliżających się wyborów parlamentarnych.

I znowu inżynierowie i fachowcy podjęli techniczną dyskusję nad problemem, która zajmuje sporo miejsca zarówno na łamach prasy francuskiej, jak angielskiej.

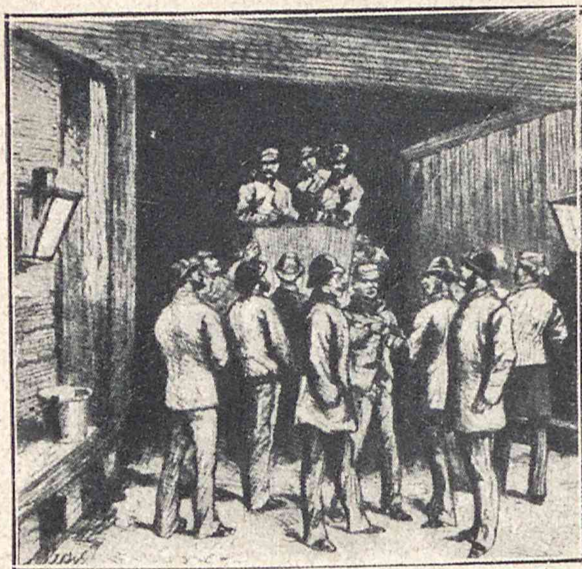


Wejście do tunelu po stronie angielskiej pod Skałą Szekspira koło Doveru



Prace nad tunelem po stronie francuskiej w Sangatte

(Fotografje z r. 1906)

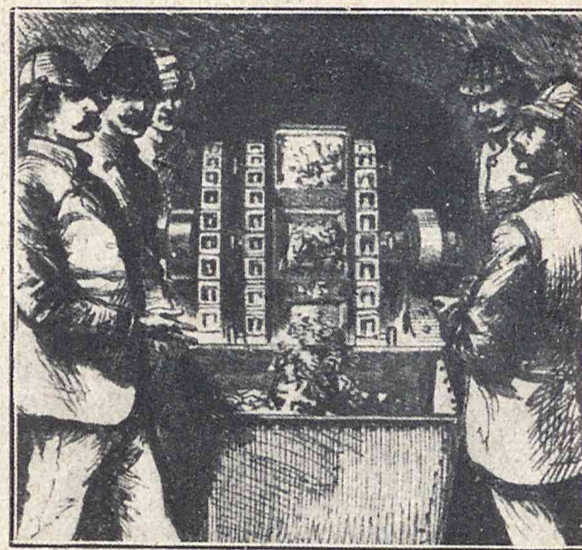


Grupa polityków angielskich zwiedza prace kanałowe w Dover w 1882 r.

Trasa pod względem geologicznym jest tak starannie wytyczona, że w stosunku do r. 1882 zaszłyby w niej tylko minimalne zmiany. Projekt przewiduje budowę dwóch równoległych tuneli o średnicy 5 metrów; tunele te łączyłyby się z sobą w pewnych odstępach poprzecznemi sztolniami. Zbadanie części tunelu, zbudowanych przed laty, wykazało, że przez wapienne ściany nie przecieka ani kropla wody do wnętrza. Mimo to uznano za wskazane zbudowanie, dla wszelkiej pewności, specjalnych kanałów „odwadniających" pod tunelem. Dno morskie wszerz całej cieśniny składa się z miękkiego wapnia, nie przepuszczającego wody; wiercenie tej miękkiej skały z pomocą udoskonalonych narzędzi współczesnych jest bardzo łatwem zadaniem. Tunel biegłby w głębokości 50 metrów poniżej dna morskiego, co bezwarunkowo wyklucza możliwość przerwania go przez wody morskie.

Zastanówmy się teraz nad korzyściami, jakie dałoby ludzkości zrealizowanie tego wielkiego dzieła. Tunel skróciłby podróż z Paryża do Londynu, trwającą dzisiaj przy najspokojniejszem morzu siedem godzin, do trzech godzin zaledwie. Transport towarowy trwałby, w stosunku do obecnego, nieporównanie krócej, odpadłby bowiem dzisiejszy dwukrotny przeładunek. Przez tunel ciągnęłyby wagony lokomotywy elektryczne, poruszające się z szybkością mniejwięcej 120 klm. na godzinę. Cała więc podróż podmorska trwałaby zaledwie 25 minut, wobec tego, że tunel miałby 50 klm. długości.

Aby zapobiedz obawom Anglji, że wróg mógłby tędy dostać się do kraju, projektują inżynierowie — zgodnie zresztą z dawniejszemi planami — urządzenie otworu tunelowego po stronie angielskiej w olbrzymiej, prawie prostopadłej Skale Szekspira i doprowadzenie aż do niego toru kolejowego po wielkim kamiennym moście, który możnaby zburzyć w razie niebezpieczeństwa. Dzięki temu nieprzyjaciel nie mógłby wylądować, bo przy tunelu otwierałaby się wówczas przed lokomotywą olbrzymia przepaść z bałwaniącem się w głębi burzliwem morzem. Prócz tego mogłyby strzedz otworu warowne



Świder kompresyjny przy pracy nad budową tunelu w 1882 r.

fortece, wzniesione naprzeciwko, pośród fal morskich.

W tych warunkach tunel nie mógłby nastręczać żadnych obaw angielskim władzom wojskowym, a otwarłby drzwi z Anglji do Europy. Projekt budowy znalazł już w Anglji licznych gorących orędowników; popiera go partja pracy, oczekująca, że przy takiej budowie znalazłyby zajęcie dziesiątki tysięcy bezrobotnych, popiera go wielki przemysł, który spodziewa się dzięki temu ożywienia ruchu przemysłowego. A liczba przeciwników wciąż maleje.

St. I.

NOWY FILM „RAPSODJA WĘGIERSKA" „W KINO PALACE"



Fragment z filmu „Rapsodji węgierskiej"



Taniec zbójnicki. Obraz prof. Skoczylasa, własność i ozdoba jednego z holl'ów Polsk. Czerw. Krzyża.

Sanatorjum Polskiego Czerwonego Krzyża w Zakopanem

Osoby, których zdrowie wymaga leczenia klimatyczno-djetetycznego znajdą tutaj źródło zdrowia. Mogą być przyjęci: chorzy z zamkniętą gruźlicą płuc, uzdrowieńcy po wszystkich ostrych chorobach dróg oddechowych, profilaktycy, t. j. osoby dotknięte dziedzicznem obarczeniem, względnie skłonnością do schorzeń gruźliczych, — a wreszcie osoby wyczerpane, niewymagające żadnego szczególnego leczenia, a tylko potrzebujące wytchnienia i odpoczynku.



Elewacja gmachu Sanatorjum Polskiego Czerwonego Krzyża

Chorych z t. zw. gruźlicą otwartą i chirurgiczną, obłożnie chorych, względnie chorych, u których leczeniem klimatycznem nie można się spodziewać osiągnięcia poprawy, jak również dzieci do lat piętnastu, sanatorjum nie przyjmuje.

Przyjęcie uzależnia się od poprzedniego badania lekarskiego na miejscu.

Podstawowym sposobem leczenia jest tak dziś szeroko w zagranicznych uzdrowiskach stosowana metoda hygjeniczno-djetetyczna Bremer'a i Dettwailer'a. Ciągłe przebywanie na wolnem i czystem powietrzu pod postacią już to leżakowania, już to przechadzek i t. p. stosowanych indywidualnie z uwzględnieniem stanu i potrzeb chorego, ścisłe ujęcie całokształtu życia chorego, poddane stałemu nadzorowi leakrskiemu, wreszcie dobry i po-

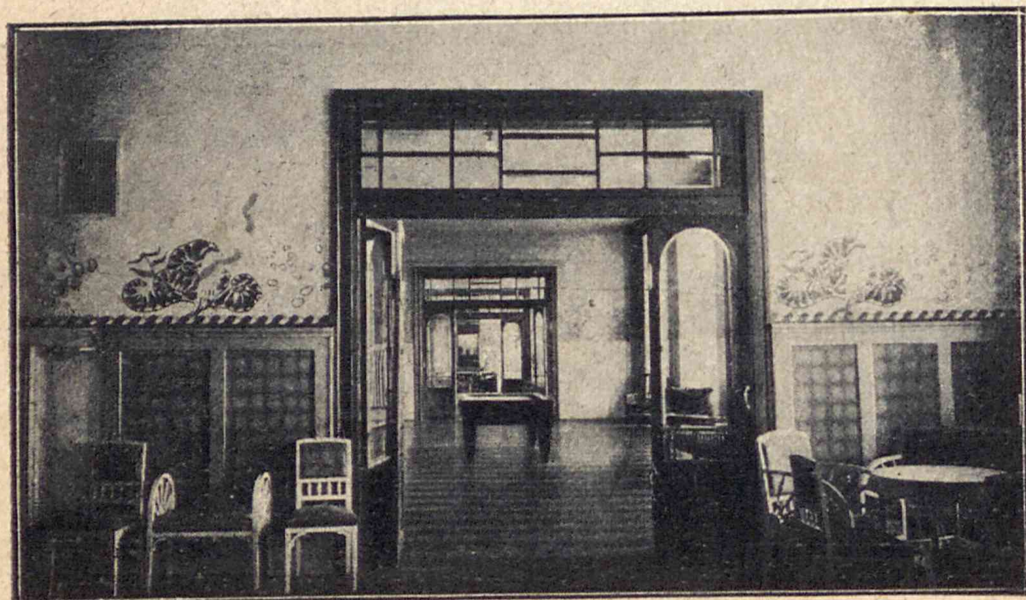


Fragment saloniku dla ... P. Czerw. K...

żywny wikt — oto zasa... sobów leczenia w Zakła...

kach wskazanych stosuje się nadto wszystkie najnowsze zabiegi i środki lecznicze. W zakładzie pracuje stale 4-ch lekarzy z Dr. Fiszerem na czele i wykwalifikowany personel pomocniczo-lekarski.

Zakład posiada 120 gościnnych pokoi jedno i dwu-osobowych urządzonych wygodnie i zaopatrzonych w wodę bieżącą zimną i gorącą, elektryczne oświetlenie i centralne wodne ogrzewanie, wielką salę jadalną, liczne piękne salony, salę teatralną i własne kino. Piętra budynku...



Przepiękne salony P. Czerw. Krzyża z salą bilardową Fot. Marjan Fuk...

Nowe zdobycze w dziedzinie usuwania przepukliny (ruptury)

Otwarcie zakładu Tillemana.

Wielką bolączką sfer lekarskich jest przepuklina. Jedyny, radykalny środek usunięcia tego cierpienia, to — operacja.

Ilu ludzi jednak chirurgicznemu zabiegowi nie chce się poddać, bojąc się położenia na stół operacyjny; szczególnie w wypadkach, gdy cierpiący ma słabe serce, jest w poważniejszym wieku, lub też posiada kaszel, astmę i t. p.

Pozostaje więc—bandaż. W tem jednak sęk, że bandaże te chorzy nabywają szablonowo w sklepach, lub też stają się przedmiotem wyzysku t. z. „specjalistów" i „cudotwórców".

Na szczęście, w ostatniem dziesięcioleciu wiedza ma do zanotowania ważną zdobycz w tej dziedzinie. — Jest nią wynalazek p. Tillemana, znanego zaszczytnie specjalisty w Krakowie, wynalazcy nowego systemu bandaży, opatentowanych w Urzędzie Patentowym Rz. Pospol., oraz zagranicą. Wynalazek ten stał się faktem przełomowym w dziedzinie leczenia przepukliny.

Zakład p. Tillemana w Krakowie zaskarbił sobie dużo wdzięczności cierpiących w całej Polsce. Ze wszystkich też stron kraju przyjeżdżają chorzy do tego zakładu, aby znaleźć tam upragnioną pomoc. P. Tilleman posiada również tysiące entuzjastycznych podziękowań ludzi o znanych nazwiskach, jak profesorów uniwersytetów, lekarzy, przedstawicieli sfer duchowieństwa, najwyższej arystokracji, oraz licznych rzesz społeczeństwa.

W wielu wypadkach dziwiono się, że tego rodzaju zakład leczniczy nie posiada swego oddziału w stolicy. Ulegając więc licznym prośbom i namowom lekarzy, założył p. Tilleman oddział i w Warszawie (ul. Hortensja 3, telefon 405-29).

Założenie w stolicy tak pożytecznej placówki, musi wywołać wielkie zadowolenie opinji publicznej i otuchę w sercach dotkniętych tą przykrą i ciężką chorobą, jaką jest przepuklina.

Dr. S. A.

Z ZAKOPANEGO



Findlanczyk, 1-szy na 50 klm., Knuttila

Z MUZYKI

Nagrodę muzyczną Min. W. R. i O. P. jury (Chybiński i Jachimecki z ramienia ministerstwa, Chojnacki, Kazuro, Maszyński, Niewiadomski, Rytel, jako przedstawiciele Stow. Kompozytorów Polskich) przyznało Karolowi Szymanowskiemu za koncert skrzypcowy, wykonany po raz pierwszy w Warszawie w 1926 roku.

Przyznanie nagrody muzycznej K. Szymanowskiemu spotyka się ze szczerą aprobatą miłośników muzyki. Autor Stabat Mater, oratorjum wystawionego z tak pięknym sukcesem w Filharmonji, znajduje się dziś, — być może, — w szczytowym punkcie swego talentu i swych zdolności twórczych. Wyzwoliwszy się zwycięsko ze wschodnich wpływów, zdobywa coraz jaśniejszy wyraz linji i coraz głębszą siłę ekspresji muzycznej. Nagroda Min. W. R. i O. P. wieńczy więc znakomitego kompozytora w najwłaściwszej chwili, narzucając w pewnym sensie młodemu pokoleniu muzyków przykład pracy i twórczości Szymanowskiego, jako godny naśladowania.

*

Życie muzyczne Warszawy stanęło w ostatnim czasie wobec nader doniosłego faktu, który przeminął, nie wzbudzając dość silnego wrażenia pośród sfer interesujących się rozwojem muzyki w stolicy. Oto po wielu latach instrumentaliści nasi pod egidą Warsz. Tow. Muzycznego zorganizowali kwartet. Kwartet ów nosi nazwę Kwartetu Polskiego i jak można wnosić z pierwszego występu na inauguracyjnym koncercie Towarzystwa Muzycznego — na tak zaszczytne miano zasługuje w zupełności. Zespół brzmi nader dźwięcznie, zgrany jest w rytmie wzorowo, posiada bardzo już rozwinięte i nader szlachetne poczucie dynamiki, frazuje harmonijnie z wielką, godziwą myślą o poświęcaniu łatwych efektów na rzecz stylu utworu.

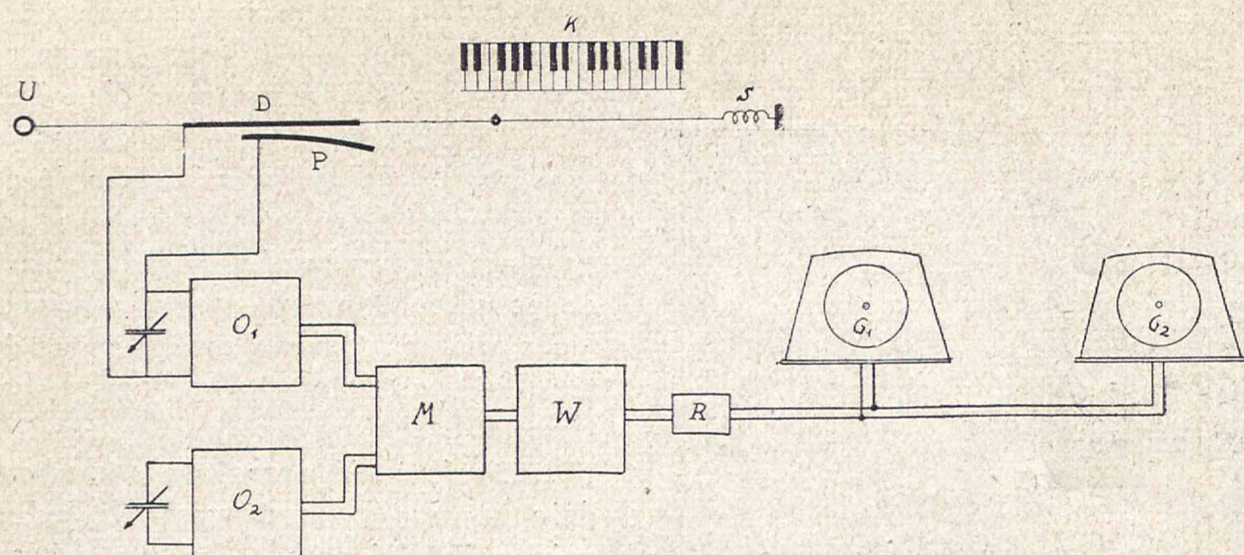
Istnienie takiego zespołu smyczkowego daje dopiero możność rozwoju jednej z najszlachetniejszych gałęzi muzyki kameralnej, t. j. kompozycji kwartetu. Istnienie polskiego Kwartetu staje się dopiero właściwym ośrodkiem nietylko muzyki kameralnej, lecz wogóle kultury gry na instrumentach smyczkowych, kultury tak u nas wciąż jeszcze niedostatecznej.

Kwartet Polski, jak widać z zapowiedzi koncertów Warsz. Tow. Muzycznego, pracuje w bardzo dużem tempie. Po wykonaniu na pierwszej audycji trzech kwartetów (Haydn, Mozart i Maliszewski) mamy niebawem usłyszeć wykonanie trzech nowych dużych kompozycyj. O ile zespół młodych instrumentalistów nie ustanie w pracy, można z całą stanowczością sądzić, iż w niedługim czasie wzniesie się na wyżynę pierwszorzędnych zespołów zagranicznych.

*

Uczczenie Klaudjusza Debussy'ego projektują warszawskie sfery muzyczne w związku z inicjatywą pomnika Debussy'ego, jaki ma stanąć w Paryżu. Filharmonja Warszawska wystąpi ze specjalnym koncertem ku czci Debussy'ego, sfery zaś muzyczne pospołu z towarzyskiemi sferami stolicy mają zamiar nadać koncertowi, oraz związanym z koncertem odczytom cechę pośmiertnego hołdu dla znakomitego twórcy „Peleasa i Melisandy".

jkb.



Rys. 1. Schemat teoretyczny sferofonu.

SFEROFON PROF. MARTENOT

Maurycy Martenot, profesor paryskiej akademji muzycznej jest nietylko wybitnym muzykiem, lecz również posiada gruntowną znajomość radjotechniki. Skonstruowany przezeń Sferofon, na którym koncertował on w Wiedniu jest prawdziwą rewelacją, która wzbudziła kolosalne zainteresowanie zarówno wśród sfer muzycznych, jak i w szerokich kołach wiedeńskich radjotechników.

Poniżej postaram się w ogólnych zarysach skreślic zasadę, na której instrument ten został skonstruowany.

Jak wiele innych pokrewnych konstrukcyj, aparat Martenot'a polega na wywoływaniu dudnień z dwóch obwodów drgających, które można dowolnie przestrajać względem siebie.

Zewnętrznym wyglądem Sferofon przypomina nieco szpinet. Na stoliku około 1,5 m. długości stoi skrzynka, przypominająca zwykły radjoodbiornik, na którego płycie czołowej widzimy dwie skale mikrometryczne oraz kilka małych guzików, obsługujących oporniki żarzenia. Na blacie stolika przed skrzynką umieszczony jest rysunek normalnej klawjatury fortepjanowej. Ponad nim przebiega cienka nitka na której nanizany jest i przytwierdzony mały, czerwony paciorek. Po prawej stronie wybiega z aparatu sznur, zakończony pierścieniem celuloidowym oraz małą płytką, na której spostrzegamy kilka pasków metalowych. Prócz tego zasadniczego urządzenia, istnieje jeszcze dodatkowy regulator, na którego płytce (wym. około 15 x 20 cm.), widzimy dźwignię drewnianą oraz sześć guzików kontaktowych. Profesor Martenot chwyta rączkę celuloidową i wkłada wskazujący palec prawej ręki w pierścień, umieszczony na końcu sznura, który wyciąga z aparatu w kierunku skośnym ku górze i ku przodowi. Podczas tego czerwony paciorek przesuwa się wzdłuż klawiatury, cały zaś aparat wydaje dokładnie ton, odpowiadający naciśnięciu tego klawisza, przed którym znajduje się w danej chwili czerwony paciorek. Palec wskazujący lewej ręki profesora spoczywa na dźwigni drewnianej dodatkowego regulatora, przy pomocy którego może on dowolnie normować siłę otrzymywanego dźwięku. W głębi sali ustawiony jest cały szereg głośników, połączonych przewodami z regulatorem.

Jak widzimy z zasadniczego schematu całego urządzenia (Rys. 1) posiada ono dwa oddzielne obwody, wytwarzające drgania wysokiej częstotliwości O_1 i O_2. Oba te obwody są nader luźno sprzężone z lampą mięszającą M. Montaż jest tak wykonany, że wsteczne oddziaływanie jednego obwodu na drugi za pośrednictwem lampy mięszającej jest praktycznie zupełnie wykluczone. Wytworzone w lampie mięszającej dudnienia, stanowiące wypadkową nałożonych na siebie drgań obu oscylatorów O_1 i O_2 podlegają dwustopniowej amplifikacji we wzmacniaczu W., a stąd za pośrednictwem regulującego opornika R płyną do głośników G_1 i G_2, których liczba może być dowolnie zwiększana w razie potrzeby. Wysokość dudnienia reguluje się zmieniając w małych granicach długość fali jednego z obu oscylatorów (O_1). Do kondensatora zmiennego tego oscylatora dołączony jest równolegle precyzer o specjalnej i b. dowcipnej konstrukcji. Cienki drut stalowy D przebiega obok odpowiednio wygiętej płyty P. i może być przeciągany w pobliżu jej w kierunku stycznym przy pomocy celuloidowego uchwytu U. Przy pociąganiu za uchwyt muzyk przezwycięża siłę sprężyny S, która przy zwolnieniu pociągnięcia sprowadza drut do poprzedniego położenia.

Każdorazowe położenie drutu względem płyty P możemy odczytać na klawiaturze K przy pomocy czerwonego paciorka, jako wskaźnika. Skoro pociągniemy za pierścień, natenczas mniejszy odcinek drutu oddziaływa pojemnościowo na płytę P. — ilość drgań oscylatora rośnie a ton dudnienia spada. Skoro puścimy pierścień, natenczas ilość drgań oscylatora spada, a zatem zmienia się również wysokość tonu interferencyjnego w głośnikach. Cała aparatura jest tak skonstruowana, by wielkość amplitudy drgań była identyczna bez względu na wysokość tonów. Także i barwa dźwięków jest zasadniczo jednakowa wobec czysto sinusoidalnego przebiegu wszystkich drgań. Martenot jednak pokusił się o to, aby można było w jego instrumencie zmieniać dowolnie i barwę dźwięku. Jest to zaleta, której nie posiada żaden z dotychczasowych instrumentów muzycznych. Sposób, w jaki Martenot rozwiązał ten problem stanowi jeden z najbardziej interesujących szczegółów konstrukcyjnych jego sferofonu.

Zmiana barwy dźwięku odbywa się dwojako: bądź przez stosowanie różnych typów głośników tubowych i talerzowych— pojedyńczo lub w grupach po kilka na raz, bądź też przez zmianę przedpięć siatkowych dla lamp wzmacniacza tak, aby jego lampy przesuwać w obręb nieprostolinijnych gałęzi charakterystyki. Skutkiem tego występują, jak wiadomo, zniekształcenia zasadniczego tonu, tworzące większą lub mniejszą ilość harmonicznych, od których zależy barwa otrzymanego dźwięku.

Jeśli napięcia siatkowe zostaną tak dobrane, aby zniekształceń nie było, natenczas otrzymamy ton przypominający drewnianą piszczałkę lub głos ludzki. Przy małych zniekształceniach tony przypominają instrumenty smyczkowe. Skoro napięcia siatkowe zostaną znacznie powiększone, punkt pracy lamp katodowych wzmacniacza wpada na dolne lub górne kolano charakterystyki. Skutkiem tego instrument Martenot'a wydaje dźwięki ostre, przenikliwe, odpowiadające dźwiękom instrumentów dętych.

Opornik regulujący siłę dźwięku, którego konstrukcja stanowi tajemnicę prof. Martenot jest zasadniczo bezindukcyjnym oporem kompresyjnym, włączonym bezpośrednio w przewody, prowadzące do głośników. Ponieważ ta regulacja odbywa się już poza granicami aparatu, przeto ani barwa, ani wysokość tonu nie ulega tu zmianie, co jest znacznem udoskonaleniem wobec innych konstrukcyj o pokrewnym charakterze. Regulacja siły dźwięku jest pozatem tak subtelna, że ze sferofonu uzyskać możemy dowolną intensywność tonu od najlżejszego tchnienia aż do grzmiących dźwięków orkiestry symfonicznej.

Szuflada umieszczona pod klawiaturą mieści w sobie wszystkie potrzebne źródła prądu.

Przed rozpoczęciem gry stroi prof. Martenot swój aparat tak, jak to czyni każdy skrzypek. Akompanjator podaje mu z fortepjanu ton „a". Martenot ustawia paciorek na sznurze w ten sposób, by znalazł się on naprzeciw analogicznego klawisza swej klawiatury i operuje tak długo skalą jednego z oscylatorów, aż otrzymany ton będzie dokładnie się zgadzał z dźwiękiem fortepianu.

Wrażenie, jakie sprawia gra na sferofonie jest ogromne. Instrument przypomina chwilami skrzypce, ale to skrzypce, które dają skalę zawartą pomiędzy najwyższy flageoletem, a najniższym, grzmiącym tonem kontrabasu. Po chwili barwa się zmienia — słyszymy dźwięk wielkich trąb mosiężnych, które jednak przejść mogą w najwyższe tony fletu piccolo. Jeszcze inna kombinacja naciśnięcia guzików regulatora i z szeregu głośników płyną ku słuchaczowi dźwięki cymbałów lub organu.

Kombinacja sferofonu z akompanjamentem fortepianu daje również b. ciekawe i miłe dla ucha efekty, znacznie bogatsze aniżeli przy grze na jednym instrumencie smyczkowym przy akompanjamencie fortepianu.

Przyszłości tego wynalazku trudno dziś jeszcze dokładnie przewidzieć. Wątpić należy czy znajdzie on zastosowanie jako instrument solowy wobec możności wydawania jednego tylko tonu w danej chwili. Zastosowanie go jednak w orkiestrze rokuje mu bardzo wiele. Sferofon bowiem, jak utrzymuje jego wynalazca, nie usiłuje naśladować lub zastępować jakiegokolwiek innego instrumentu; zadaniem jego jest dać możność kompozytorowi stosowania nowych i nieosiągalnych dotychczas efektów i motywów w partyturze.

Wynalazek ten stwierdza nam dobitnie, że współpraca techniki z innemi, zupełnie na pozór odrębnemi i abstrakcyjnemi dziedzinami, może dać najpiękniejsze i najowocniejsze rezultaty.

Że konstrukcja sferofonu i jej rozwiązanie jest poprostu genjalne, zarówno pod względem muzycznym, jak i technicznym, zawdzięczać to należy temu, że profesor Martenot jest, jak już wspomniałem nietylko bardzo zdolnym radjotechnikiem i konstruktorem, ale i wybitnym i subtelnym muzykiem.

Zaznaczam jednak, że jakkolwiek osobiście nie miałem możności słyszeć tego instrumentu, w artykule powyższym zebrałem tylko część hymnów pochwalnych, jakich sporo na cześć wynalazcy zamieszcza prasa zagraniczna, a zwłaszcza wiedeńska.

Włodzimierz Junosza-Stępowski

PENSJONAT „CARLTON" W ZAKOPANEM

Minęły już i to zdaje się bezpowrotnie czasy, w których goście zakopiańscy przyjeżdżali do Zakopanego dla primitywu i sielanki. Dziś coraz mniejszem powodzeniem cieszą się stare i primitywne wille i domki góralskie, a coraz większe zyskują wille nowe, murowane zupełnie nowocześnie i stające na poziomie europejskim.



Piękny gmach „Carltonu"

Fot. Marjan Fuks

Do tego rodzaju will - pensjonatów należy nowowzniesiony na drodze do Białego, pensjonat luksusowy „Carlton", prowadzony przez p. Helenę Erlichównę, znanej kierowniczki pierwszorzędnych pensjonatów i cieszącej się na tutejszym terenie od lat 10-ciu najlepszą opinją z doskonałej kuchni i świetnej organizacji. Kierownictwo „Carltonem" przez p. Erlichównę mówi wiele i daje gwarancję wysokiego poziomu tego ze wszech miar na wyróżnienie zasługującego pensjonatu.

Urządzony z wielkim wykwintem i elegancją, posiadający 30 pokoi luksusowych, należy do jednego z największych objektów i pozwala ze względu na ilość i jakość pensjonarzy na wytworzenie miłej atmosfery towarzyskiej.

Pensjonat „Carlton" posiada wszystkie nowoczesne urządzenia, a więc: elektryczność, 2 aparaty telefoniczne, z których jeden dla rozmów międzymiastowych, trzy holl'e, dwa salony, urządzone z przepychem, obszerną salę jadalną z przepięknym widokiem na Tatry, cztery łazienki, wodę ciepłą i zimną we wszystkich pokojach, dwie werandy kryte i tarasy do nasłonecznienia.

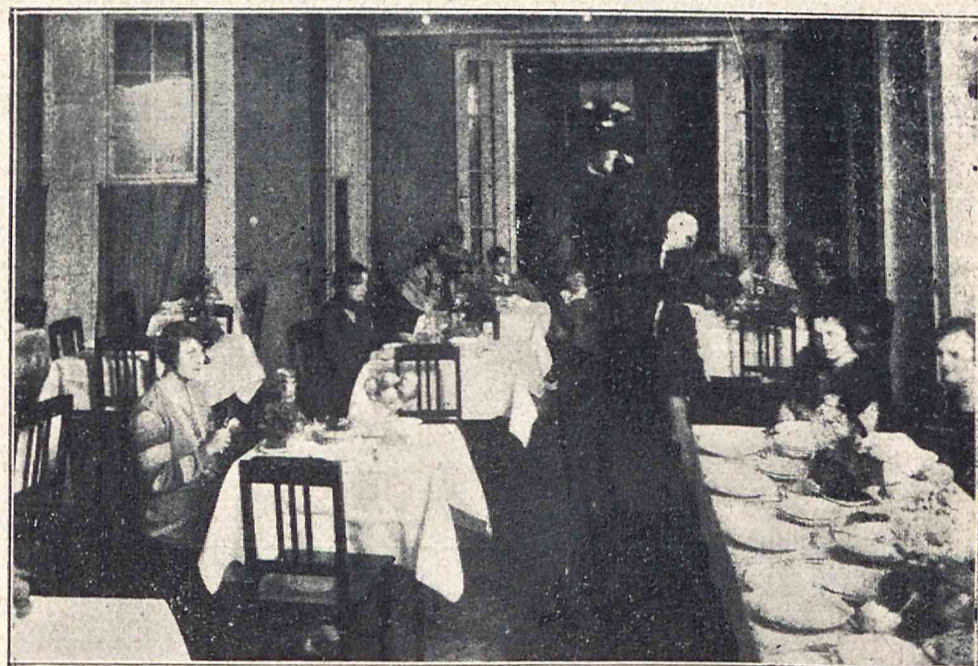
Położony tuż przy parku klimatycznym z widokiem przepysznym na regle i Giewont, oraz cały łańcuch Tatr, stale i przez cały dzień oblany promieniami słonecznymi znajduje się wśród łąk i kwiatów górskich, nadaje się nadzwyczaj dla pobytu rekonwalescentów, którzy w tych warunkach przy znakomitej kuchni, w krótkim czasie przychodzą do sił i zdrowia. Chorych jednak, pensjonat „Carlton" nie przyjmuje.

Obiady składają się z pięciu dań, kolacja z czterech dań, a śniadania podają się systemem angielskim lub wiedeńskim.

Do niemałych zalet pensjonatu pani Erlichówny należy bardzo dobra i grzeczna obsługa.

Przy prowadzeniu „Carltonu", dzielnie pomaga w kierownictwie p. Władysław Maciejowski.

KW.



Artystycznie i z kulturą urządzona piękna sala jadalni.

Fot. Marjan Fuks

PENSJONAT „PRZYSTAŃ' W ZAKOPANEM

„Przystań" Pensjonat prowadzony przez właścicielkę p. Julję Stawarzową, należy do pensjonatów I-szej kategorji i położony jest nader malowniczo na skraju lasu, przy drodze do doliny Białego, w zagajniku kilkunastoletnich świerków. Mając wystawę południową „Przystań" tonie w promieniach słonecznych i daje możność swym pensjonarjuszom korzystania z dobroczynnych i tak zbawczych dla zdrowia skutków. Oddalony od drogi nienarażony jest zupełnie na przykry hałas ruchu kołowego i jeszcze przykrzejszy kurz i pył uliczny.

„Przystań" leżąca już niemal u stóp regli i cudnej drogi pod reglami, pozwala na częste i bliskie spacery na łonie czystej przyrody, nienarażając przytem spacerowiczów na trud dalekich marszów i przykrości ulic centralnych. Szczególnie miłe spacery do cudnej doliny Białego, dalej do Strążyskiej, na krokiew itd. czynią z „Przystani" punkt, rzeczywiście dla pewnej kategorji pensjonarzy, idealny.

Tyle co do zalet zewnętrznych, przyrodzonych...

Posiada jednak „Przystań" i wiele zalet wewnętrznych, własnych, których istnienie zawdzięcza właścicielce dbałej nietylko o swój, ale także i swych gości interes.

Posiada więc „Przystań" ponad 30-ma bardzo wygodnie i ładnie urządzonymi pokojami, dużą salę jadalną, przed wejściem do której znajduje się ogólna umywalnia i łazienka (rzecz w Zakopanem stanowiąca nowość), bardzo gustownie urządzony salon z pianinem, gramofonem i przyborami dla gier towarzyskich. Cudowny obszerny taras południowy, balkony i werandy wspólne oraz oddzielne przy poszczególnych pokojach. Centralne ogrzewanie zapewnia stałe, równomierne i wystarczające ciepło, a doskonała wentylacja gwarantuje czystość powietrza. Elektryczność i woda gorąca i zimna bieżąca, łazienki i wszystkie inne urządzenia nowoczesne stawiają pensjonat „Przystań" w szeregu pierwszorzędnych zakopiańskich tego rodzaju przedsiębiorstw.

Wzorowa pod każdym względem, zdrowa a nader obfita kuchnia, chwalona już dostatecznie przez wszystkich, którzy w „Przystani" znaleźli czasową przystań dla wypoczynku i nabrania sił nie wymaga specjalnych pochwał ani zbytecznego reklamowania.



W zagajniku, u stóp Giewontu, ślicznie położony gmach „Przystani"

Fot. Marjan Fuks

Właścicielka p. Julja Stawarzowa, osoba nader towarzyska, dba przytem bardzo, aby w jej pensjonacie życie towarzyskie pulsowało i biło pełnią życia — nic więc dziwnego, że miły salonik w pewnych porach dnia sprawia wrażenie miejsca zabawowego ze wszystkiemi jego cechami i zaletami, pozbawiającemi „Przystań" stylu pensjonatowego a nadającemi charakter bardziej miłego i przytulnego ogniska domowego, Tony pianina czy gramofonu, śmiech i gwar głosów, a wreszcie taniec królują w nim wszechwladnie.

Zaprawdę, że „Przystań" to prawdziwa przystań dla wszystkich, którzy lubią na równi ciszę i czar przyrody i bujnie życia towarzyskiego, pulsującego tętnem żywem — którego motorem jest pokój i pogoda ducha.

Emef.

PENSJONAT „KMICIC" W ZAKOPANEM

Już sama nazwa przyciąga... już w samej nazwie tego przemiłego pensjonatu jest coś, co człowieka usposabia doń życzliwie... a kto go pozna bliżej, kto wśród przemiłej atmosfery wytworzonej dzięki zaletom właścicieli gospodarzy państwa Wiktorostwa Walczyńskich, spędzi w nim parę tygodni, ten zapewne stanie się już raz na zawsze stałym jego gościem.

Pensjonat „Kmicic" położony w parku miejskim, zdala od gwaru i zgiełku ulicznego w dużym własnym ogrodzie, kąpie się całemi dniami w potokach promieni słonecznych. Z okien jego dużego tarasu, z rozlicznych werand przy wszystkich pokojach roztacza się bajeczny i malowniczy widok na cały łańcuch Tatr granitowych i zalesionych regli.



Miła atmosfera towarzyska, przy smacznej kuchni, czyni z pięknej sali jadalni „Kmicica", nader sympatyczne przytulisko
Fot. Marjan Fuks

Ale nietylko warunki zewnętrzne przyrodzone stwarzają w „Kmicicu" jeden z najmilszych i najlepszych zakopiańskich pensjonatów. Sympatyczni i dbali o wygodę swych gości właściciele, wyposażyli go we wszystko, co ku wygodzie i zadowoleniu służy. Ma więc „Kmicic" wodę ciepłą i zimną, łazienki, oświetlenie elektryczne, radjo, fortepjan i garaż własny, jak również samochód wytworny do użytku gości dla dalszych wycieczek, nawet zagranicę do południowej strony Tatr, położonej w Czechosłowacji. Kuchnia znakomita. Niezwykle uprzejma i wyszkolona służba. Wszystko to wytwarza rzadko w pensjonatach spotykaną przemiłą atmosferę życia towarzyskiego i przyjacielskiego.

M.

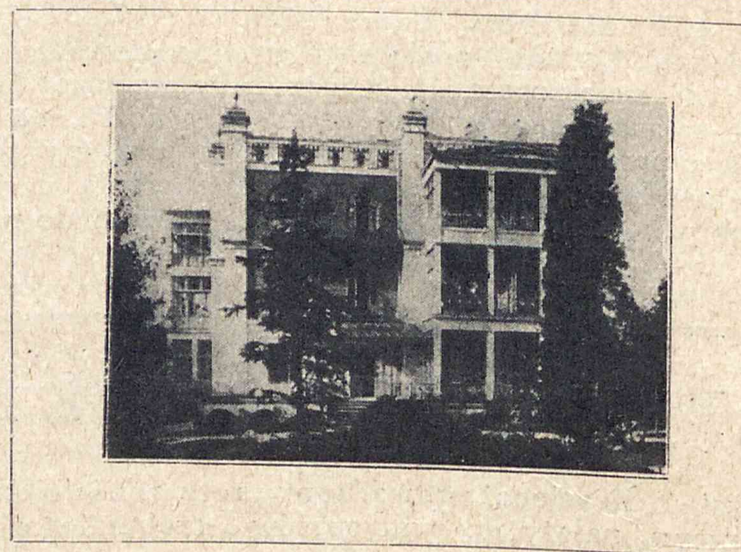
„RADOWID" ul. Sienkiewicza, tel. 124



Fot. Marjan Fuks

Położenie słoneczne. Piękny widok na góry. Urządzenie komfortowe podług najnowszych wymagań hygieny. Gorąca i zimna woda we wszystkich pokojach. Centralne ogrzewanie. Ceny przystępne. Kuchnia wykwintna, a co najważniejsze, towarzystwo doborowe.

„WARSZAWIANKA"



Ogólny widok jednego z głównych budynków „Warszawianki", położonej we wspaniałym parku w pobliżu dworca kolejowego

---

ZAKOPANE

Całoroczne uzdrowisko wysokogórskie 800 do 1.000 m. n. p. m. Idealne miejsce wypoczynkowe. Rendez-vous elity towarzystwa. Hotele, pensjonaty, kawiarnie, restauracje, dancingi, park, koncerty orkiestry wojskowej, kinematograf sale koncertowe i teatralne, biblioteki publiczne, wystawa sztuki, muzeum tatrzańskie, gimnazjum państwowe, sanatorja, szkoła koronkarska, szkoła przemysłu drzewnego, centrum turystyki tatrzańskiej, stolica sportów zimowych. Narty, saneczki, ślizgawka, dwie skocznie narciarskie, korty tenisowe, boisko sportowe. Towarzystwo Tatrzańskie, Sokół, Dom Wycieczkowy, Stacja Meteorologiczna, Schronisko przy Morskiem Oku, i na Hali Gąsienicowej. Idealne miejsce klimatyczne o specjalnych warunkach leczniczych. Niskie ciśnienia, mała wilgotność, silna insolacja, mała ilość wiatrów, duże opady śnieżne, czystość powietrza, rzadkie mgły. Wskazania lecznicze, choroby płuc, zwłaszcza gruźlica w stadjach początkowych. Doskonałe rezultaty w sprawach kataralnych, oskrzeli i górnych dróg oddechowych oraz rekonwal. po zapaleniu płuc i grypie. Dobre warunki do leczenia malarji, anemji, blednicy, neurastenji, choroby bazedowe i czyn. zaburzeń narządów trawienia. Doskonałe wyniki u dzieci wątłych i obciążonych dziedziczną skłonnością do chorób piersiowych.

Sanatorja: Czerwonego Krzyża, Wojskowe, Związku Nauczyc., „Odrodzenie", dla dzieci K. B. K., Bratnia Pomoc Akad., Szpital Uzdrowiska, Zakłady roentgenologiczne, Pracownia chemiczno-bakterjologiczna, Djatermia, Elektryzacja, Fizykoterapja, Łazienki miejskie, Poradnia przeciwgruźlicza, dla niezamożnych. Prospekty wysyła Zarząd Uzdrowiska, Zakopane, Rynek.

WSPANIAŁY DANCING W MORSKIEM OKU



Fragment ślicznej i miłej sali restauracji „Morskiego Oka". Zabawa się zaczyna, za chwilę będzie kipieć, szaleć...
Fot. Marjan Fuks.

Przepiękna sala Morskiego Oka jest codziennie od 5-ej pp. do 8 wieczór i od 10 wieczorem nieraz i do białego świtu przepełniona amatorami miłego przepędzania czasu. Jazz - band Karasińskiego-Kataszka i numery solowe tańca, śpiewu i innych atrakcji, urozmaicają czas, przeznaczony dla rozkoszy życiowych. Bogata piwnica z winami właścicieli firmy Józef Król i S-ka, daje możność wyboru najprzedniejszych napoi po cenach przystępnych i zadawalnia smakoszów.

„JASZCZURÓWKA"



Fragment przepięknej sali restauracyjnej w Jaszczurówce, gdzie życie wre w każdej porze dnia Fot. Marjan Fuks.

Właściciele pp.: Włodzimierz Berberjusz i Marja Budziszewska postawili ten przepiękny nocny lokal na piedestale najwyższej kultury, wykwintu i elegancji. Bawiący się w całym Zakopanem, uważają za nieskończoną zabawę, jeżeli nie zakończą jej w Jaszczurówce. I po ślicznej wycieczce nie męczącej, bo nie zadługiej, a jednak rozkosznej, z Zakopanego przez Bystre do Jaszczurówki, wycieczkowicze są zadowoleni z przecudnie przepędzonych chwil. Wspaniałe atrakcje taneczne, pyszne posadzki do tańca, świetna kuchnia i niezwykle wielki wybór napoi przy urozmaiceniu zabawy przez niespodzianki, organizowane przez dyrekcję, zapewniają to, czego można maksimum osiągnąć w takim lokalu. Przy restauracji mieści się hotel, plaża dla opalania się słońcem i jedyna w Zakopanem kąpiel, urządzona podług ostatnich wymagań techniki nowoczesnej.

OBRAZEK Z ZAKOPANEGO



Mistrz Mieczysław Frenkiel i p. Ignacy Sołtys, współwłaściciel firmy Antoni Chojnacki w Warszawie, przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 109
Fot. Marjan Fuks.

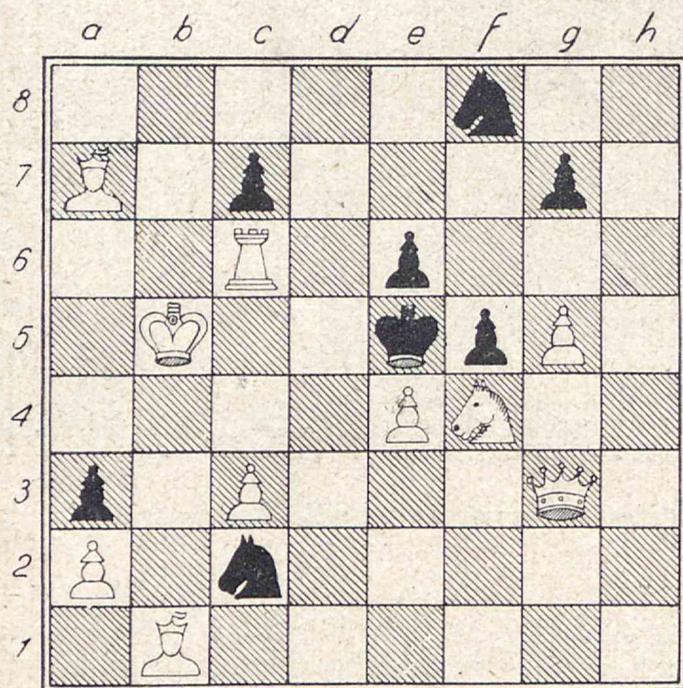
— Co słychać Mistrzu, Profesorze?
— A to, co widać...
— A co widać?...
— Wszędzie i ciągle piękne pańskie krawaty. Z dyrektora teatru zmienił się pan na dyrektora dekoracji Panów w konfekcję męzką i wie Pan, o czem teraz ciągle się słyszy?
— Ciekawy jestem — Mistrzu.
— Słyszy się ciągle i tylko o pańskiej firmie: „Antoni Chojnacki".
— To mnie cieszy. Czy nawet w Zakopanem o tem mówią?
— Nie tylko w Zakopanem, ale w całej Polsce wszędzie spotykam świat elegancki, ubrany u Panów.

DZIAŁ ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

Niedostarczenie nam na czas zamówionych klisz z zadaniami szachowem i bridge'owem było powodem, że № 5 naszego pisma zmuszeni byliśmy wypuścić w świat bez zwykłego już działu rozrywek umysłowych. Przepraszając najmocniej tych wszystkich, którzy z tego powodu doznali rozczarowania lub przynajmniej pewnego zawodu, przystępujemy do publikacji dwuch ostatnich zadań z pierwszej serji zadań konkursowych.

Zadanie szachowe № 6.

Autor: T. C. Evans.
wg. „The Ill. London News.



Białe: K b 5, D g 3, W c 6, G a 7 i b 1, S f 4, p: a 2, c 3, e 4, g 5 (10)
Czarne: K e 5, S c 2 i f 8, p: a 3, c 7, e 6, f 5, g 7 (8).
Mat w 2-ch posunięciach.

Rozwiązanie zadania szachowego № 5

1) D f 8 — h 8;	D a 3 — a ∾;	S g 4 × e 3 † i m
. . . . ;	D a 3 — ∾;	D h 8 — a 8 † i m.
. . . . ;	W d 1 — d ∾;	D h 8 — h 1 † i m.
. . . . ;	W d 1 — ∾;	D h 8 — d 4 † i m.
. . . . ;	W g 5 — e 5;	S g 4 — f 6 † i m.
. . . . ;	W g 5 — h 5;	D h 8 × h 5 † i m.
. . . . ;	W g 5 — ∾;	W f 2 — f 5 † i m.
. . . . ;	G b 4 — d 2;	D h 8 — d 4 † i m.
. . . . ;	G b 4 — e 1;	D h 8 — h 1 † i m.
. . . . ;	G b 4 — c 5;	S e 6 — f 4 † i m.
. . . . ;	G b 4 — g 5;	D h 8 — a 8 † i m.
. . . . ;	G b 4 — c 3 }	S g 4 × e 3 † i m.
. . . . ;	c 4 — c 3 }	
. . . . ;	e 3 × f 2;	e 2 — e 4 † i m.

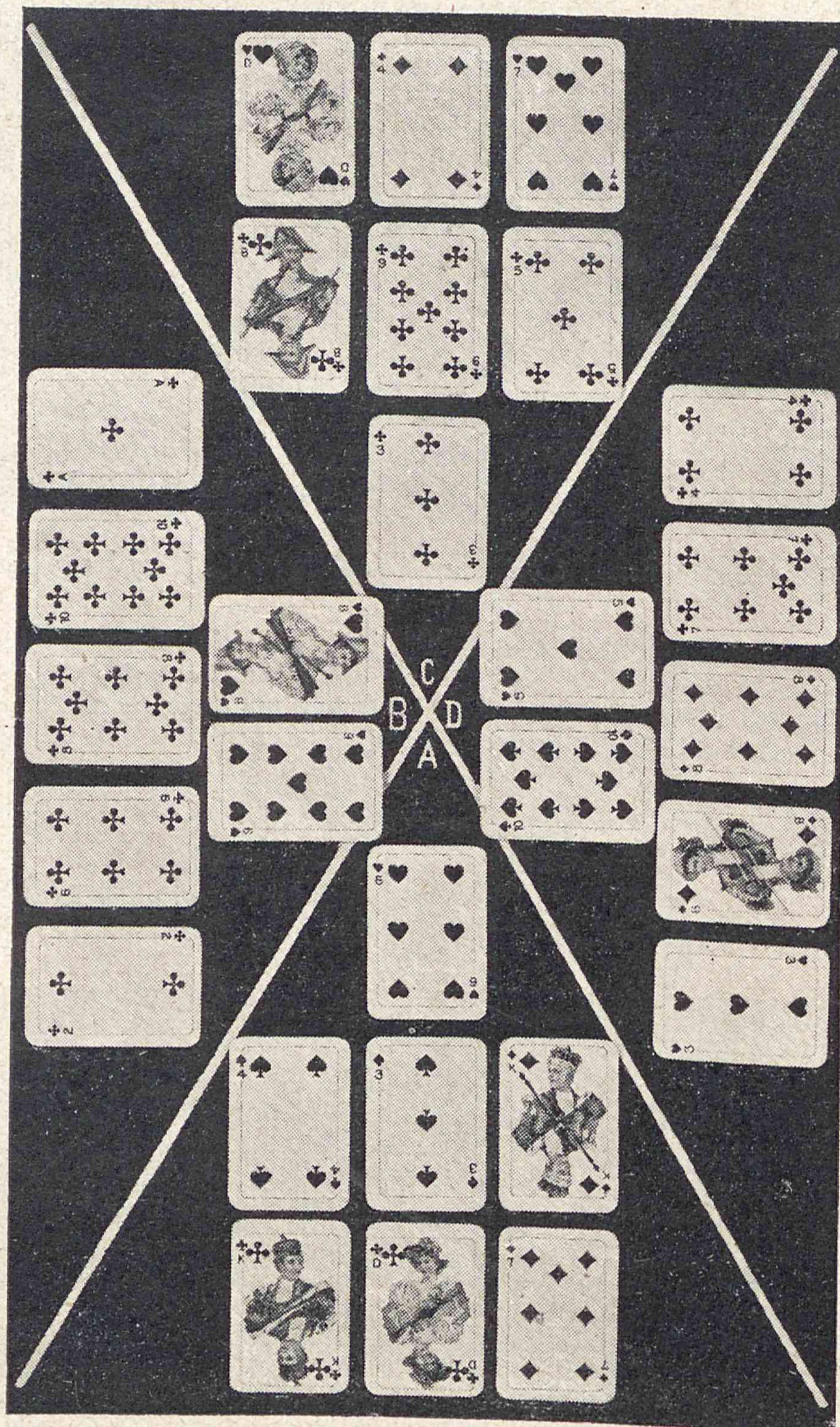
Sprostowanie do rozwiązania zadania szachow. № 4

Przez przeoczenie opuszczono następujący warjant: na G g 4 — f 5 następuje mat przez G h 3 — f 1.

Dobre rozwiązania zadania szachowego № 4 nadesłali we właściwym terminie: Pp. Predrag, N. K. Kozłowski, W. Puttler, „Bees", W. Rembiszewski i H. Siokmanowa. Stan konkursu: Predrag $3^3/_4$, W. Rembiszewski, W. Buttler, „Bees" po 3 punkty, N. K. Kozłowski $2^3/_4$ p., Siokmakowa 2 p., A. Serga i I. Czernow 1 p., wreszcie W. Radwański $^3/_4$ p.

Dobre rozwiązania zadania bridge'owego № 4 nadeszły we właściwym terminie od Pp: W. Buttlera, B. Bagińskiego, H. Liebego, W. Kiślańskiej, T. Rembiszewskiego i Dra J. Zalewskiego. Stan konkursu: W. Buttler, W. Kiślańska i Dr. Zalewski po 4 punkty, T. Rembiszewski 3 punkty, H. Liebe 2 punkty, wreszcie po 1 punkcie: St. Bellis, W. Borkowski, A. Dienheim, inż. Gronowski, J. Pomianowski, B. Bagiński, „Emski" „Star", „Stefa", M. Gawecki, ppor. Bułka, por. Tyszkiewicz, St. Nowakowski, J. Krzymowski, E. Lipińska, B. Szyf, P. Serga i J. Czernow.

Zadanie bridge'owe № 6.



Atutem są kiery. A zagrywa. Partnerzy A C biorą 5 lew

Rozwiązanie zadania bridge'owego № 5

	A	*B*	*C*	*D*
1.	K kier *)	8 kier	A kier	5 kier
2.	A pik	9 kier	2 kier	10 kier
3.	K pik	4 pik	D pik	7 pik
4.	5 pik	6 pik	2 trefl	10 pik
5.	3 trefl	7 trefl	7 karo	2 karo
6.	6 trefl	D kier **)	A karo	3 karo
7.	10 trefl	W trefl	4 kier	6 karo
8.	K trefl	D trefl	5 trefl	K karo

*) Można oczywiście z równem powodzeniem zgrać w pierwszym ruchu asa pikowego, a dopiero potem wyjść w króla kier z dalszym ciągiem jak wyżej.

**) Jeżeli B w szóstej lewie zrzuci trefla, dwie ostatnie lewy weźmie A na króla i 10 trefl.

Notatki literackie

NOWA GRUPA POETÓW POD GODŁEM „METEOR".

Młodzież literacka ufundowała sobie od roku nowe czasopismo pt. „Meteor". Pod tem też godłem występuje publicznie z recytacjami. Grupę tę tworzą poeci: pp. Marjan Piechal, Wł. Bieńkowski, R. Kołoniecki, Mila Elin, Jan Ostaszewski, Kazimierz Sowiński, St. Flukowski, Świątopełk-Karpiński i Tad. Horzelski. Teorję reprezentuje p. Lucjan Korzeniowski. Utwory młodzieży tej przeplatają się akcentami społecznemi (niekiedy o zabarwieniu jaskrawo - tendencyjnem), sentymentalizmem, śpiewem, piękna przyrody, pracy geniuszu ludzkiego. Jako próby literackich wzlotów, spotkać można rzeczy godne uwagi. Proza J. Ostaszewskiego, jeszcze pretensjonalna, przeładowana, zasługuje na wyróżnienie dla cech świadomej konstruktywności.

Śpiewnością i liryzmem tchną wiersze R. Kołonieckiego. Na wieczorze w Tow. artystycznem w „Polonji" mile wpadały też w ucho utwory St. Karpińskiego.

„Meteor", jako nowa grupa literackiej, poetyzującej młodzieży, wart jest baczniejszej uwagi.













NOTATKI LITERACKIE

CZY MOŻE U NAS ISTNIEĆ PISMO, POPULARYZUJĄCE WIEDZĘ PRZYRODNICZĄ?...

Do roku 1914 wychodziło u nas zasłużone pismo, popularyzujące wiedzę przyrodniczą pt. „Wszechświat". Redagował je ś. p. prof. Bronisław Znatowicz. Istniało ono od r. 1882 i społeczeństwu naszemu przyniosło rzetelny dorobek naukowy. Wojna zamknęła tę placówkę, jak i wiele innych instytucji kulturalnych. Po powstaniu Państwa Polskiego szybki wzrost szkolnictwa niższego i średniego, rozwój kadrów nauczycielstwa nasuwały myśl o konieczności wznowienia tego czasopisma. Kto, jak kto — ale nauczyciel - przyrodnik musi być w kontakcie z twórczą pracą w dziedzinie jego specjalności. Znaleźć się też winni i uczniowie inteligentniejsi, poszukujący gruntowniejszych wiadomości. Wreszcie w każdem społeczeństwie istnieją jednostki ciekawe zdobyczy wiedzy.

Tak wyglądałyby rzeczy, gdyby rozsądna myśl pokrywała się z rzeczywistością. Niestety, w naszych stosunkach jest to na razie... słuszny paradoks. „Wszechświat" wznowiono. Redakcję objął prof. Ryszard Błędowski. W 25 zeszytach dał interesujące, poważne prace najznakomitszych naszych uczonych. A rezultat? Pismo nie posiada dostatecznej liczby odbiorców. Naturalni czytelnicy, nauczyciele, uczniowie szkół średnich, studenci, inteligencja pracująca w różnych zawodach o podkładzie przyrodniczo - naukowym nie wykazali zainteresowania dla tego pisma w takim stopniu, na jaki zasługuje: ilość prenumeratorów jest niedostateczna do utrzymania „Wszechświata", choć nasi uczeni dają swoją pracę prawie bezinteresownie. Chodzi tylko o opłacenie druku, papieru, kosztów administracji. Czyż to nie wstyd, by w społeczeństwie naszem powojennem, o własnem państwie — rozbudowanem szkolnictwie nie mogło się utrzymać czasopismo, prosperujące nieźle za czasów niewoli?

Nie można sobie tłomaczyć tego zjawiska też kiepskiem uposażeniem nauczycieli, ani biedą wśród uczniów. Pisma sportowe biją już po kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy!

Jednakowo silni i energiczni od rana do wieczora!

Dziwne napozór zjawisko, iż odżywianie zwierząt domowych wykazuje większe postępy od odżywiania ludzi, tłomaczy się tem, że pożywienie zwierząt stanowią pokarmy wybrane przez człowieka, który, dbając we własnym interesie o zdrowie i rozwój stada, wyszukuje dlań najodpowiedniejszych odżywek. Tymczasem człowiek je i pije to, co mu smakuje, przytem trudno mu jest odzwyczaić się od wielu szkodliwych nałogów

Skąd pochodzi siła?

Od wieku wszelki postęp ściśle jest związany i uwarunkowany intensywną pracą. Skąd pochodzą nasze siły, jeśli nie z pożywienia? Liczne przedsiębiorstwa nie angażują pracowników już po latach 40-tu, jakkolwiek jest to bezwątpienia okres pełni sił życia.



I = Szczur, żywiony Ovomaltine'ą 35 dni 53 gr. II = Szczur, hodowany na pokarmie, pozbawionym witamin 35 dni 28 gr.

Wpływ Ovomaltine'y na rozwój organizmu (wyjątek z rozprawy naukowej).

Praca nieprodukcyjna.

Zamiast narzekać na ten stan rzeczy, starajmy się mu zaradzić, przedewszystkiem zaś wybierajmy tylko te pokarmy, które wytwarzają maximum energji produkcyjnej. Lwia część sił, otrzymanych z odżywiania, idzie na proces trawienia, na podtrzymanie ciepłoty ciała, krążenie krwi, oddychanie oraz na tworzenie nowych komórek. Energję produkcyjną stanowi zaledwie nadmiar sił, jakim możemy rozporządzać dla wykonania codziennych obowiązków. Aby ten nadmiar zdobyć należy koniecznie uciec się do pożywienia łatwostrawnego i o dużej wartości odżywczej.



Apetyt.

Drugim równie ważnym czynnikiem jest apetyt. Rola jego w procesie trawienia często nie jest należycie oceniana. Apetyt pobudza wydzielanie się soków trawiennych, co doskonale zostało zilustrowane w starem wyrażeniu: „Ślinka idzie mu do ust."

Panna C. U. Typowa blednica, stały spadek wagi ciała, zmęczenie, osłabienie nóg, palpitacje serca, bezsenność, brak apetytu.

	Przed kuracją	Kuracja z zastosowaniem Ovomaltine'y	
Waga:	55 kg	56 kg	58 kg
Zawartość czerwonych ciałek krwi w 1 mm^3:	3,2 Mill.	3,5 Mill.	4.1 Mill.
Zaw. białych ciałek krwi w 1 mm^3:	10500	11000	12500
Zawartość hemoglobiny w krwi:	70%	75%	90%
	Badanie dn. 20 marca	dn. 22 kwietnia	dn. 25 maja

OVOMALTINE

podtrzymuje i zwiększa siły.



Dr. A. WANDER S. A., BERN

Ovomaltine.

Pomimo dużej wartości odżywczej i nadzwyczajnej łatwostrawności, Ovomaltine nie zastępuje zwykłego pożywienia, lecz go uzupełnia, sprzyjając jednocześnie trawieniu. Dzięki specjalnym sposobom fabrykacji pozostają organicznie nienaruszone nietylko wszystkie zasadnicze substancje odżywcze tego preparatu, lecz także i diastaza słodu. Ferment ten pokonywa w dużej części najważniejsze i najtrudniejsze zadanie organów trawiennych, mianowicie rozkłada węglowodany. Dzięki Ovomaltine'ie organizm zużywa minimum sił na trawienie, wskutek czego jego energja produkcyjna rośnie.

Wspaniałe skutki stosowania Ovomaltine'y! Po 4-ro miesięcznej kuracji ... jako pierwszy, zdałem egzamin maturalny, osiągnąwszy średni stopień 4.91
Serdeczne pozdrowienia
... S. O.

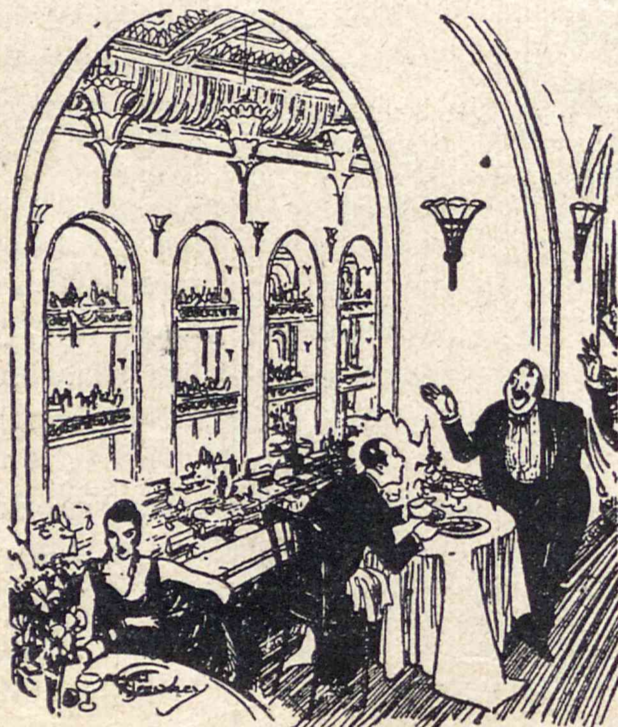
Energja jest droższa od kapitału. Czuwajcie zatem staranniej nad jej utrzymaniem, niż nad zachowaniem pieniędzy.

Ovomaltine jest stanowczo czemś więcej, niż pokarmem. Stanowi ona to, czego potrzebuje wyczerpany organizm współczesnego człowieka, aby stawić czoło walce o byt. Filiżanka Ovomaltine'y na pierwsze śniadanie utrzymuje rzeźkość ciała i sprzyja skupianiu myśli. Pomaga ona z łatwością przetrwać codzienne drobne przykrości i trudności.

Napoje odurzające i podniecające, zioła i wszelkie preparaty chemiczne są wrogami pracy. Nie pozwólcie pod żadnym pozorem rozwinąć się zmęczeniu, wyczerpaniu i zdenerwowaniu! Wzmacniajcie organizm, przyjmując codzień na pierwsze śniadanie filiżankę Ovomaltine'y.

Do nabycia wszędzie w puszkach 250 i 500 gramowych.

HUMOR ZAGRANICZNY



Gość do kelnera:

— Z jakiej przyczyny zmniejszyliście znowu porcje?

— Powiększyliśmy lokal!...

(La Tribuna)

Redaktor odpowiedzialny ST. KRZYWOSZEWSKI

DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA

HUMOR ZAGRANICZNY

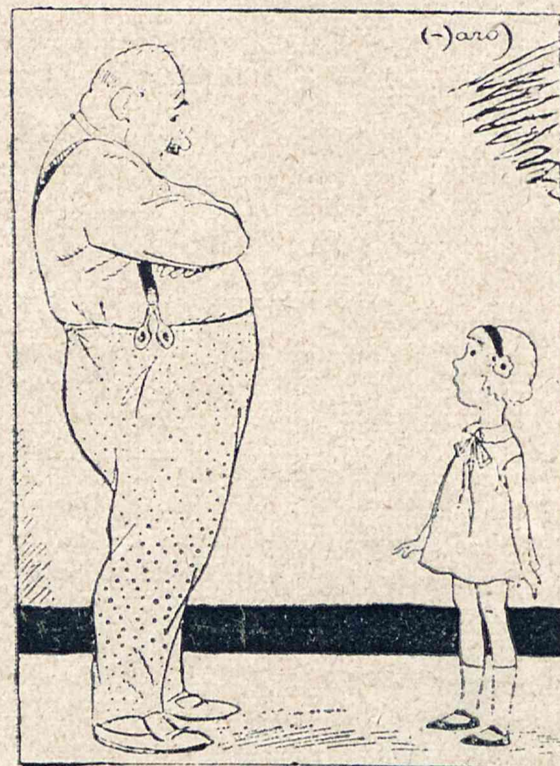


— Gdybym nie mógł wrócić na obiad napiszę ci kartkę...

— Nie trudź się... już ją widziałam w kieszeni twojej marynarki...

(Le Rire)

HUMOR ZAGRANICZNY



— *No i cóż, czy zauważył nauczyciel, że ci pomogłem przy pisaniu...*

— *Powiedział, że nie wydaje mu się możliwe, iżbym sama mogła zrobić tyle błędów ortograficznych.*

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00. Ekspedycji 501-51
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13, (Hotel Europ.)

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH"
CENY PRENUMERATY w Warszawie, odbiór na miejscu miesięcznie 5 zł., z odnoszeniem do domu 6.— zł., na prowincji: miesięcznie 6.60 zł., kwartalnie 19.80 zł.
Zagranicą miesięcznie 8.60 zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA